

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie		REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ;
Rocznie	6.	Ś. Jerska 15 m. 26	Przed tekstem za wiersz petitu
Półrocznie	3.	Otwarte codziennie prócz świąt od	50 k
Kwartalnie	1.50	godziny 11 do 3 i od 5 do 7.	W tekście (nadesłane)
Miesięcznie	50	Skrzynka pocztowa № 52	1 rb
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu			Po tekście
Rocznie	7.—		20 k
Półrocznie	3.50		
Kwartalnie	1.75		
Miesięcznie	60		
			Numer pojedynczy 15 kop.

PO WYBORACH WILEŃSKICH.

Rezultatem kampanji wyborczej w Wilnie była porażka kandydata polskiego komitetu demokratycznego. Było to do przewidzenia. O zwycięstwie jego absolutnem nikt rozsądny marzyć nie mógł. Chodziło tylko o zdobycie jaknajwiększej ilości głosów. Wynik ostateczny tak się przedstawia: ks. Maciejewicz otrzymał 5,397 głosów, adw. Krzyżanowski 541. Stosunek na pozór uprawniający do jaknajbardziej pesymistycznych refleksji. Czy słusznie jednak?

Jako skali porównawczej wielu używa danych z poprzednich wyborów do Dumy, gdy na adw. Wróblewskiego padło przeszło półtora tysiąca głosów. Stąd wniosek, iż klerykalizm w ciągu pięciu lat ubiegłych uczynił znaczne w Wilnie postępy. Rozumowanie z gruntu fałszywe.

Nie należy zapominać, że kandydatura mec. Wróblewskiego skupiła wówczas dookoła siebie żywioły najrozmaitsze, uderzające swą pstrokaczną przekonaniową. Popierali ją z jednej strony postępowcy i bezpartyjna inteligencja, z drugiej zaś grupy stojące na przeciwnym biegunie polityczno-społecznym: ugodowcy a nawet część duchowieństwa, usposobionego niechętnie względem roboty demokratyczno-narodowej. Walka wyborcza toczyła się nie o hasła programowe, które odegrały rolę podrzędną, lecz o osobę kandydata. Ludzi o nader umiarkowanych poglądach oburzało zuchwalstwo kliki endecko-klerykalnej, przeciwstawiającej kandydaturę nieznanego katechety kandydaturze jednostki tej miary — co mec. Wróblewski.

Nie mieściło się w głowach choć trochę uświadomionych, że głośny mówca i wybitny prawnik może zostać zwyciężony przez przeciętnego kaznodzieję. Aby więc zapobiec ewentualnej jego klęsce, szli do urny wyborczej ludzie najbardziej nawet obojętni na sprawy polityczno-społeczne. I mimo poparcie sfer wpływowych, mimo, że cała niemal inteligencja stała po jego stronie, mimo, że cały kraj życzył jego wyboru, p. T. Wróblewski otrzymał zaledwie dwie tysięcy kilkaset głosów, gdy jego przeciwnik blisko 6 tysięcy.

Od tej chwili upłynęło pięć lat. Przez ten czas

zaszły rozmaite zmiany. Endecja opanowała „Kurjer Litewski“, kler zdobył ważną placówkę: „Gazetę Codzienną“. Duma Państwowa wykazała swą jałowość i reakcja wzmogła się na siłach. Społeczeństwo wpadło w stan apatii i zniechęcenia. To też gdy została wysunięta ponownie kandydatura ks. Maciejewicza — wiadomość ta w przybliżeniu nawet nie wywołała takiego nastroju, jak za pierwszym razem. Oswojono się z piastowaniem przez księdza mandatu poselskiego z Wilna.

Pogodzili się łatwo z niem przedewszystkiem nasi ugodowcy, na tle ogólnego zbliżenia między realistami a demokracją narodową. Przekonali się, że ani społecznie, ani politycznie ks. Maciejewicz bynajmniej radykałem nie jest. Wzrost nacjonalizmu i antisemityzmu w społeczeństwie polskim, pozostający w ścisłym związku z ogólną reakcją, przyciągnął na stronę ks. Maciejewicza wielu niedawnych jego przeciwników ze środowiska bezpartyjnego.

W tych warunkach rozpoczął swą działalność polski komitet demokratyczny. Zmuszony walczyć na trzy fronty, przeciwstawiając hasła demokratyczne, postępowe i opozycyjne — wsteczniectwu, szowinizmowi i ugodzie, nie rozporządzając dostatecznym zasobem sił i środków, nie mając kandydata, któryby się cieszył popularnością w szerokich sferach; — komitet nie mógł rachować na znaczny sukces. Nie opuścił jednak rąk, nie uląkł się pewnej przegranej i pracował do ostatka z energją i zapałem, nie szczędząc ofiar materialnych, na agitację.

W tym celu powołał do życia gazetkę dwugroszową p. t. „Głos Wileński“, której zadaniem było przemawiać do mas, tłumaczyć im cele i zasady demokratycznej akcji wyborczej. Siedem numerów „Głosu Wileńskiego“, oczywiście, nie mogło zrównoważyć wpływu paroletniej roboty „Gazety Codziennej“. Agitacja dorywcza i zorganizowana pośpiesznie nie mogła mieć tego skutku, co ambona i zakryta, działające od wieków. Zastęp bojowników postępu nie mógł się mierzyć pod względem liczebności i sprawności z fanatyczną armją dewotek, zakrytą i tarcjarzy. Skądże można było oczekiwać tryumfów?

Inteligencja wykazała zadziwiający indyferentyzm. Asystujący przy urnach wyborczych członko-

wie komisji obywatelskich stwierdzają zgodnie, że odsetek wyborców z pośród inteligencji był znikomym. Na tę postawę wpłynęło niewątpliwie przeświadczenie o niewątpliwiej przegranej oraz obojętność względem działalności parlamentu rosyjskiego. Gdyby jeszcze chodziło o osobę kandydata, ale o zasady! To by pociągnęło za sobą wyraźne opowiedzenie się przy pewnym programie, zajęcie określonego stanowiska przekonaniowego, a tego nasza burżuazja nie lubi. Przeraza ją wszelki wysiłek, wytrącający ją z roli biernej, z wygodnego kwijetyzmu, spędzający z twarzy uśmiech sceptyczny. Większość inteligencji powstrzymała się od głosowania.

Któż więc dał owe pięć i pół setek głosów na kandydata demokratycznego? Niewątpliwie byli to ludzie nowi, pozyskani dla sprawy przez propagandę hasła demokratycznych i postępowych, wyzwoleni z pęt klerikalizmu, spełniający świadomie swój obowiązek obywatelski. Szczupły ten na razie zastęp będzie się zwiększał w miarę, jak się będzie rozwijała robota postępowca.

Postępowcy wileńscy zaledwie od roku zaczęli rozwijać swą działalność. Pierwszym ich czynem zorganizowanym w okresie porewolucyjnym było powołanie do życia „Przeglądu Wileńskiego”. Pismo nasze w tak krótkim przeciągu czasu nie mogło, rzecz prosta, wywrzeć większego wpływu. W założeniu swem zresztą nie miało na celu mas, operując wśród grona czytelników wykształconych. Ze światem drobnomieszczańskim postępowcy mieli kontakt nader luźny i dorywczy. Żadnej pracy planowej nie prowadzono. Dopiero przed samymi wyborami rozpoczęto akcję uświadamiającą. I wstępny bojem zdobyto kilkaset głosów.

Jest to zjawisko wysoce pocieszające.

Pamiętać należy, że była to pierwsza walka, wypowiedziana u nas potężnemu klerikalizmowi śmiało i otwarcie, bez obsłonek oportunistycznych. Po raz pierwszy nastąpiło starcie pomiędzy kierunkiem demokratyczno-postępowo-opozycyjnym a mocno ugruntowanym klerikalno-nacjonalistyczno-ugodowym. I to niemal bez żadnych przygotowań, bez przedwstępnych ataków. Oczekiwać, by niedostępna dotychczas twierdza poddała się za pierwszym na nią zamachem, byłoby naiwnością. Zrobiony został wy-

łom — i to już wiele. Czas pogłębi i rozszerzy uczynioną szczyrbę.

Gutta cavat lapidem non vi, sed semper cadendo.

Wybory ubiegłe wykazały wymownie, że nie sposób marzyć o zwycięstwie, nie mając w swym ręku prasy popularnej, nie posiadając funkcjonującej stale organizacji. Na te braki powinni postępowcy i demokraci nasi zwrócić przedewszystkiem swą uwagę. Samymi odezwaniami, chociażby najbardziej płomiennymi, niewiele można dokonać.

Skromna ilość głosów, oddanych na mec. Krzyżanowskiego, niewątpliwie byłaby większą, gdyby strona przeciwna nie uciekała się do praktyk demagogicznych i do rozmaitych sposobów, nie licujących z wymaganiami etyki. Rozsiewanie fałszywych pogłosek o kwalifikacjach osobistych kandydata demokratycznego, wydzieranie przemocą niemal kartek wyborczych z nazwiskiem Krzyżanowskiego z rąk bardziej potulnych i mniej uświadomionych wyborców, agitacja polityczna za pomocą ambony — wszystko to było na porządku dziennym. Niczego nie zaniedbano, by zapewnić zwycięstwo ks. Maciejewiczowi.

Sam kandydat nie siedział również z założonymi rękami. „Gazeta Codzienna”, która pozostaje pod jego kierownictwem, w okresie przedwyborczym zamieniła się w świstek, wzorowany na pogromowoczarnosecinowych wydawnictwach rosyjskich. Szerokim strumieniem lały się zeń pomyje oszczerstw, kłamstw i przerażającego nieuctwa. Roznamiętniony kler, puszczony samopas pokazał, do czego jest zdolny, gdy żaden hamulec go nie krępuje. Przerazenie ogarnia, gdy się czyta ten stek bzdurstw i szynkownianych wymysłów, któremi raczyła swych czytelników redakcja „Gazety Codziennej” przez parę tygodni. Takiego napływu w prasie barbarzyństwa, takiego urągania kulturze, takiego rozbastwienia najniższych instynktów — Wilno nie pamięta od czasu krótkotrwałego istnienia gazdzinowej gazetki „Morskaja Wołna”. Niestety, „Gazeta Codzienna”, razem ze swym kierownikiem mają pretensję do reprezentowania kultury polskiej...

Wszakże dzień w dzień „Gazeta Codzienna” drukowała wielkimi literami, że jedynym *narodowym* kandydatem jest ks. Maciejewicz. Do kroćset! Czyż

G. DANIŁOWSKI.

11

Marja Magdalena.

FRAGMENT.

Nie syklami, minami, ale talentami dług swój spleć, każdy rynek przyniesie ci upominek swój, noc w roskoszy, a dni twe roztoną w ucztach i weselu.

— Judaszu, Judaszu — odezwała się ze szczerem spółczuciem Marja — wieczne baśnie palą się w jaskini twej głowy — gonisz mary na wietrze, a wychełtany płaszcz twój drze się na strzępy. Dziurami świecisz tymczasem nie złotem... Zanim ten pałac wystawisz, mów lepiej, jak tam teraz w Galilei? Zielone pewnie jak szmaragd łąki, pełne wód i trących się ryb jezioro moje błękitne.

W głosie jej zadrgało ciche wzruszenie, fijołkowe oczy powlokły się dymką mgły...

Judasz przygasał i posmutniał.

— Obszedłem je prawie całe wokół — zaczął po chwili — zacichającym głosem — byłem w Gamali, w Kafarnaum, w szumnej Tyberjadzie, bawiłem dłu-

żej w Magdali — zwiedziłem ten gaj i te wikliny, pamiętasz — w pobliżu wód... Wysoko do pasa wyrasta tam trawa, a w tej kotlinie, gdzieśmy ją zmieli, śniade hjacynty, szaleje płowe, liljowe irysy i blade szpikomerki w krąg się rozrosły, świdwa białymi kępami rozkwitła cała...

— Świdwa powiadasz — szepnęła sennie Marja — czemuś nie przyniósł choć jednej kiści...

— Zwiędłaby w upale...

— Odchuchałabym ją ustami swemi.

— Marjo! — jęknął Judasz i pochylił się nad nią, a od opończy jego zaleciał ją zapach jakby rozoranej roli i wyschłych pokosów siana. Przymknęła oczy i odpychając go zlekka wycodziła nerwowo:

— Szorstki masz płaszcz, szorstki twój płaszcz... niechce — taki szorstki...

Judasz jedynym zamachem zrzucił opończy i został w krótkiej z płótna tunice, ledwie sięgającej do kolan bez rękawów z rozdarciami u żyłastej szyi. Usta jego drżały, dyszały szybko potężne włochate piersi.

Marja skośnem z pod rzęs opuszczonych oczu spojrzeniem patrzyła na jego opalone kosmate strze-liste nogi i drżące jak w febrze muskularne ręce...

naród polski składa się jedynie z ciemnego sfanatyzowanego tłumu i operujących nim sprytnych demagogów? Kiedyż przyjdzie czas, gdy potwarz podobna nie będzie mogła mieć nawet pozorów prawdy?

Długi i mozolny trud oczekuje tych, którzy pragną, aby imię polskie w naszym kraju nie było symbolem wstecznictwa.

Ludwik Abramowicz.

Odpowiedź na refleksje powyborcze.

(List do Redakcji).

W № 227 „Kurjera Litewskiego“ ukazał się artykuł wstępny p. t. „Refleksje powyborcze“ pióra p. J. Hł., zawierający między innymi krytykę dwóch artykułików z „Głosu Wileńskiego“ o działalności parlamentarnej ks. Maciejewicza i stanowisku kół polskich. Autorstwo ich p. J. Hł. najniesłuszniej przypisuje „filarowi“. „Przeglądu“ i „Głosu Wileńskiego“, gdyż autorem ich jest niżej podpisany, który w „Przeglądzie“ nigdy nie pisywał, w „Głosie“ zaś wziął udział przygodny, jako jeden z przedstawicieli kierunku *radykałno-narodowego*.

Odpowiadam więc tylko na te zarzuty, które uczyniono z powodu *moich* artykułów, pomijam zaś inne, dotyczące całokształtu akcji wyborczej Polskiego Komitetu Demokratycznego.

Punkt pierwszy.

O podkomisję szkół nierosyjskich.

Potwierdzam tu, com napisał w № 3 „Głosu Wileńskiego“, że podkomisja szkół nierosyjskich, do której należał ks. Maciejewicz, wybrała tylko przewodniczącego, oraz że w ciągu sesji (w r. 1907 i 1907) nie było posiedzeń komisji. Dla stwierdzenia tego faktu nie potrzebuję udawać się, jak to radził p. J. Hł. do ludzi, „obdarzonych lepszą pamięcią“, cytuję bowiem nie z pamięci, lecz z urzędowego sprawozdania Dumy Państwowej

(Obzór diejatielnosti komisji i otdielow 1907—1908 str. 77), gdzie powiedziano: „w ciągu sesji nie było posiedzeń komisji i oddany komisji projekt prawa nie został rozpatrzony“.

Nie przeczę, że ks. Maciejewicz pracował nie tylko w tej podkomisji szkół nierosyjskich, która się nie zbierała. Okoliczność ta nie obala jednak faktu, podanego wyżej. Szło mi tylko o dowód, iż o pracach ks. Maciejewicza w komisjach pisali jego przyjaciele *przesadnie*, były bowiem komisje, co istniały tylko na papierze.

Punkt drugi.

O głosowanie za flotą.

Zarzut uczyniony ks. Maciejewiczowi w głosnej sprawie głosowania Kół polskich za kredytem 502,000,000 rb. na flotę rosyjską nie był wcale „wykrętnym“, na co mam również dowody.

Nie zarzucałem ks. Maciejewiczowi, że *głosował* za tym kredytem — napisałem wyraźnie: „ks. Maciejewicz głosu przeciw projektowi nie oddał. „Gazeta Codzienna“ podaje, że ks. Maciejewicz podczas głosowania nad wydatkami na flotę: „*był w kraju*“. A więc nie spełnił swego obowiązku jako poseł... obowiązkiem jego było być właśnie w Dumie, brać udział w tak ważnych obradach i jaknajsilniej protestować przeciwko stanowisku Koła. A o stanowisku tem, jako jego solidarny członek, nie wiedzieć nie mógł“.

Dziwię się, jak po tak ściśle sformułowaniu kwestji, p. J. Hł. powtarza za ks. W. Szykiewiczem przeciwko „Głosowi Wileńskiemu“ zarzut; „jeszcze wykrętniejsze i mniej uzasadnione były zarzuty czynione w tej kwestji ks. Maciejewiczowi, który wyjechał z Petersburga przed głosowaniem nad owym półmiliardem“.

Wolno ks. W. Szykiewiczowi, autorowi paszkwilu „Wielkie zero polityczne“ wypisywać niestworzone rzeczy o przeciwnikach kandydatury ks. Maciejewicza, bo „Gazeta Codzienna“ dowiodła podczas wyborów, w jaki sposób pojmuje zadania prasy. P. J. Hł. z pewnością nie zazdrości laurów redaktorom i współpracownikom „Gazety Codziennej“, zatem powinien był doczytać artykuł do

Drobny dreszcz przebiegł jej po krzyżach—wzdrygnęły się uda, zagrały różowe nozdrza i rozchyliły jak dwa płatki pąsowe usta.

Judasz bełkocząc jej imię, rozpalonemi rękami szukał pod peplonem sprzączki opaski bioder, palce mu się trzęsły i błędziły jak ślepe po całym cieple, wreszcie spotkały się z dłońmi Marji i wspólnym wysiłkiem rozluźnili zaścignięte rzemyki. Marja posłyszawsza trzask rozdartego wzdłuż peplonu, głuchy podobny do zduszonego ryku jego głos, poczuła zaognienie jego srogich oczu w swych źrenicach i potężny ucisk targanego szaleńca wielkiego ciała.

— Judaszu!—chciała krzyknąć—ale głos jej zwiął się zdławiony nagłym spazmem dzikiej rozkoszy.

Dogasały knoty w kagankach, ustawiły się strażę zaranne, miało się ku rozdnieniu, gdy ją opuszczała senność z lubością się schodząca.

Uniosła powieki i patrzyła długo w poryte fałdami, zsiekanymi zawiejami, zagmatwanymi obliczami, w wielkie zwichrzonemi kudłami przysłonięte czoło i miała wrażenie, że ta głowa nie śpi nigdy, że w czaszce tej odbywa się ciągle ciężka praca bałwaniących się jak woda w kotle myśli.

Trąciła go łokciem — ocknął się.

— Idź już, idź — nalegała — bo się pobudzą. Masz tu — wydobyła z pod wezgłowia garść monet — daj Deborze, bo mi wstyd za ciebie...

— Idź! wyrwała mu się z objęć — słyszałeś — rzekła rozkazująco ze ściągniętą brwią, rozjątrzona i blada.

Judasz wstał, wdział opończę, zacisnął mocno pas z niewyprawnej skóry i mruczając coś, wysunął się chyłkiem. Zatrzymał się nad śpiącą Deborą — przeliczył pieniądze: cztery duże srebrniki i garść oboli.

Drobne wysypał w podolek służącej, resztę schował w zanadrze i uśmiechnął się winowajczo.

— Zaczyna mi się wyraźnie powodzić — pomyślał — rozciągając piersi potężnym westchnieniem; zatrzymał się na galerji i władcem trochę posepnem spojrzeniem objął szeroko rozścielający się, przesiany brzaskiem widok i biegł w dal oczyma, jakby szukając krańców marzonego królestwa na ziemi...

końca, z powodu którego kilka słów napisał w swoich refleksjach.

Punkt trzeci.

Trzeci zarzut p. J. H., dotyczący nieuwzględnienia przez „Głos Wileński“, że „głosy polskie nie zaważyły na szali“ (przy głosowaniu Koła Polskiego wraz z reakcjonistami rosyjskimi za flotą) jest zupełnie niezrozumiały.

Z tego punktu widzenia, zważywszy, że w Dumie i w przyszłości rząd niewątpliwie będzie posiadał większość, wypadłoby zrezygnować posłom polskim ze stanowiska samodzielnego i głosować za wszelkimi projektami reakcyjnymi, bo czy tak czy owak, głosy ich napewno na szali nie zaważą. Czyż trzeba dowodzić bezpodstawności takiego poglądu?

Punkt czwarty.

W pojmowaniu, na czym polega istotna opozycyjność nie zgodzimy się z p. J. H., stąd różnica w określeniu, jaką była polityka Kół Polskich w Dumie.

P. J. H. nie chce uznać pewnika, iż nie tyle mowy wygłaszane w parlamentach świadczą o opozycyjności posłów, ile fakt wypowiedzenia rządowi braku zaufania, co wyraża się najsilniej i najkonsekwentniej przez odrzucenie kredytów, wymaganych przez rząd.

Oto są najważniejsze punkty w „Refleksjach powyborecznych“ wymagające rzeczowego sprostowania ze strony niżej podpisanego, jako autora artykułów, krytykujących *ugodową* politykę Kół polskich i ks. Maciejewicza.

Wc. St.

P. S. Wyjaśnienie powyższe było przeznaczone do „Kurjera Litewskiego“, którego redakcja jednak, mimo, iż drukuje chętnie wszelkie listy, nawet natury osobistej (jak np. p. J. Obsta o tem, że nie jest „litwomane“) oraz mimo, iż posiada specjalną rubrykę dyskusyjną p. t. „Wolna trybuna“, zamieszczenia tego sprostowania — odmówiła.

W sprawie ugody polsko-rusińskiej.

(Dokończenie).

Dziś stronnictwo narodowców ukraińskich jest daleko bardziej pod względem społecznym radykalne, niż tego wymaga interes składających je czynników. Nie reprezentując bynajmniej najsłabszych elementów socjalnych, uprawia ono politykę maksymalistyczną, która nie liczy się z rzeczywistością i wysuwa same tylko postulaty, celem wzmocnienia agitacji. Jest to, rzecz prosta, błędna zupełnie taktyka.

„Dziś, w Europie Zachodniej, nawet nie wszyscy socjaliści stoją na stanowisku bezwzględnie opozycyjnym względem społecznego państwa. Socjaliści angielscy popierali czas jakiś rząd liberalny; belgijscy zawierali sojusze z liberałami i w pewnych momentach życzliwie odnosili się do króla; socjaliści włoscy prowadzili również i prowadzą jeszcze podobną politykę; to samo w większym stopniu powiedzieć można o socjalistach duńskich, szwedzkich, południowo-niemieckich, po części i austriackich“. Stanowisko nie-

przejednane, bezwzględnie doktrynerskie spotykamy jedynie w tych krajach, które rządzone są z wyraźną tendencją reakcyjną.

„Wszelkie doniosłe reformy, o ile odbywają się bez rewolucji, w czasach zwykłych, dochodzą do skutku dlatego tylko, że czynią zadość pewnemu chwilowemu kompromisowi, że usuwają na plan dalszy sprawy najbardziej sporne, nie dające się w danym czasie rozwiązać“.

Otóż narodowcy ukraińscy do zrozumienia tego nie dojrżeli jeszcze. Wszystkie swe najradykałniejsze postulaty wysuwają do natychmiastowego zrealizowania przy załatwianiu każdej sprawy bieżącej.

To ich stanowisko jest szkodliwe jednak dla stron obu, a przedstawia ono poniekąd ekwiwalent wszechpolskiego hasła: „żadnych ustępstw“ i frazesu o nienaruszalności naszej nad nimi przewagi. Gdyby polityka polska obca była tego rodzaju tendencjom; gdyby natomiast jawnie przyznawała nieuniknioną konieczność ustępstw i plan ich zgóry sobie wytknęła; niewątpliwie musiałaby też nastąpić ewolucja najsilniejszego stronnictwa rusińskiego, t. j. ukraińskiej partii narodowej. Zrózniczkowawszy się, odgraniczyłaby ona radykałów społecznych i skrajnych nacjonalistów od zwykłych, umiarkowanych demokratów, skłonnych do liczenia się z warunkami realnymi. Odlam ten, niewątpliwie najliczniejszy, znalazłby rychło wiele punktów stycznych ze znaczną częścią stronnictw polskich i droga kompromisu stanęłaby otworem.

Prędzej czy później dojsz do tego musi. Moment ten przyspieszy ostateczne przytarcie rogów Demokracji Narodowej, na której talencie politycznym myślący ogół w Galicji już się poznaje.

Wypadnie jednak, niestety, ponieść jeszcze konsekwencje szkodliwych wpływów wszechpolskich (i podolskich, t. j. „Podolaków“, stronnictwa najreakcyjniejszego, obszarników wschodnio-galicyskich, z którymi ręką w rękę idzie Narodowa Demokracja). Jedną z tych konsekwencji będzie nieunikniona zgoda na założenie uniwersytetu rusińskiego we Lwowie. Jak się już rzekło, jeszcze kilka lat temu ukraińcy przystaliby chętnie na którekolwiek inne miasto. Obecnie upór ich przeciw temu jest stanowczy, a strona polska nie ma żadnych szans, by go przeforsować mogła. Dalsze, stawiane przez nią, przeszkody nietylko zaognią jeszcze bardziej stosunki, nietylko pociągają, daremną stratę czasu i energii, ale — co jest najszkodliwsze — uczynią konieczną interwencję Wiednia, w którym nie wyginęły bynajmniej resztki tradycji centralistycznych. Hołdujące im żywioły bardzo są skłonne do wyzyskiwania na rzecz swoją antagonizmu rusińsko-polskiego i do opierania się na sympatjach ukraińców. Oddawna „publiczną jest tajemnicą, że często Koło Polskie nie może silnie domagać się pewnych koncesji na rzecz Galicji, obawiając się, by rząd centralny, nie chcąc ich udzielić, nie poruszał spraw rusińskich“.

Ażeby raz na zawsze centralizmowi broń tę z rąk wytrącić i stworzyć jednocześnie warunki dla dalszego rozszerzenia autonomji, należy bezwarunkowo uznać, jako wytyczną w wewnętrznej polityce galicyjskiej, dążenie do całkowitego równouprawnienia obu narodów, tudzież zapewnienia rusinom samodzielnosci w sprawach kulturalno-oświatowych i gospodarczych. Jeżeli tę zasadę wczas (t. j. już obecnie) przyjmie większość pol-

ska, zyska ona szanse odparowania dalej idącego żądania rusinów — administracyjnego podziału kraju.

Podział taki byłby bezwzględnie dla nas szkodliwy. Spowodowałby on oddanie miliona i kilkuset tysięcy polaków pod obce rządy. Na szczęście, ten właśnie postulat jest słabym punktem programu ukraińców. Przedewszystkiem nie gwarantuje on im tak wielkich korzyści, jakich się spodziewają (silna domieszka żywiołu polskiego nigdy nie dałaby im czuć się zupełnymi panami kraju); wobec tego, obozy umiarkowane mogą łącznie od tego żądania odstąpić za przyznanie rusinom autonomji kulturalnej. Nadto — w danym wypadku dziś jeszcze po stronie polskiej opowiedzieć się *musi* Wiedeń. Gdyby bowiem zechciał popierać ukraińców i dążyć do podziału Galicji, ujrzałby się w konieczności dokonać też podziału innych krajów o ludności mieszanej: Śląska, Bukowiny, Czech, Moraw; to zaś pociągnęłoby za sobą najrozmaitsze komplikacje.

Warunki równouprawnienia obu narodów i zapewnienia im samodzielności w sprawach własnych, zdaniem p. Kulczyckiego, wymagają:

- 1) sprawiedliwej reformy wyborczej do sejm, opartej na katastrze narodowym;
- 2) zapewnienia rusinom w Wydziale Krajowym 3 głosów, a polakom 5;
- 3) utworzenia posady wicemarszałka, którąby stale zajmowali rusini, a to dlatego, aby mieli swojego męża zaufania w administracji autonomicznej kraju;
- 4) utworzenia oddzielnej Rady Szkolnej, złożonej z samych tylko rusinów, jako zwierzchniej władzy nad ich uczelniami.

Spełnienie tych czterech warunków nader skutecznie winno podziałać na usmierzanie dotychczasowych waśni. Uszczupli ono wprawdzie „przewagę“ polską, ale tylko w tych granicach, w których ona jest fikcją, dziedzicznym przywilejem prawnym, nie popartym społecznymi czynnikami faktycznej siły. Ta ostatnia nie tylko podobnych prerogatyw nie wymaga, ale przeciwnie: w obecnych warunkach zawsze na nich traci. Tylko kulturalne spółzawodnictwo równych z równymi dodaje ludom prawdziwej mocy. Narodowości uprzywilejowane gnuśnieją, tracą spoiwość, która wśród nich odżywa jeno pod działaniem narkotyków demagogicznych i fajerwerkowych hasel nacjonalizmu. W życiu powszednim rozprzegają się, i demoralizują.

Naród silny, zwycięski w znaczeniu społecznym opierać się musi na kulturze mas: na ich oświacie, zaradności gospodarczej, popularności metod organizacyjnych i świadomości ciężeniu tych mas ku własnej grupie plemiennej.

W tym kierunku rusini galicyjscy uczynili postęp olbrzymi — znacznie większy stosunkowo, niż polacy, których sugiestjonowała dotąd pamięć przewagi, pozyskanej mocą dziś już bez przyszłości — mocą kultury szlacheckiej.

Jakkolwiek społeczeństwo polskie w Galicji w ostatnich dziesięcioleciach, znakomicie się zdemokratyzowało, znacznie podniosło i unarodowiło lud; wszelako stopień kultury chłopstwa polskiego niezbyt wznosi się po nad poziom kulturalny mas rusińskich. Przewaga nasza realna (nie prawna, fikcyjna) opiera się dalej przedewszystkiem na tem, że posiadamy liczniejszą inteligencję i szlachtę. Ta prerogatywa efemeryczna może jednak przeobrazić się w atut istotnie wartościowy, jeśli wymienimy ją na siłę nowoczesną. Mając więcej

inteligencji i obfitsze kapitały oświaty, posiadamy szanse stałego i znacznego dystansowania rusinów w kierunku podnoszenia cywilizacji mas polskich, a tem samem broniemy zajętych przez żywioł polski placówek.

Placówkę taką stanowi np, między innymi, Lwów, którego charakter polski drogi jest nam wszystkim, bez różnicy przekonań społecznych. Otwarcie w nim uniwersytetu rusińskiego jest koniecznością; ale koniecznością bynajmniej nie jest rutenizacja stolicy. „Charakter miasta Lwowa zależy będzie w przyszłości nie od tego, czy powstanie w nim uniwersytet rusiński, czy nie; lecz od wielu innych czynników:

1) od stosunku ilościowego ludności polskiej do rusińskiej w powiecie lwowskim i najbliższych jego okolicach;

2) od szybszego lub wolniejszego rozwoju rozmaitych kategorii przemysłu, i co za tem idzie napływu ludności wiejskiej do stolicy;

3) od wzrostu istniejących i powstania nowych instytucji gospodarczych i kulturalno-oświatowych polskich i rusińskich;

4) od tego wreszcie, czy żydzi asymilować się będą zawsze przeważnie z polakami czy i z rusinami.

Dziś w powiecie lwowskim bez Lwowa polaków (wraz z żydami zasymilowanymi) jest akurat tyle, co rusinów; w samym zaś Lwowie mamy zdecydowaną większość (rusinów jest zaledwie 20%). Co czynić, by utrzymać ten „stan posiadania“?

Otóż starać się podnosić atrakcyjność Lwowa, jako ogniska kultury polskiej. Nasz uniwersytet lwowski winien przyciągać zastępy młodzieży, rozpraszającej się dotąd po całej Europie. Jeśli nawet nie potrafi on spółzawodniczyć z Paryżem lub Berlinem, to jednak zastąpić może w zupełności Gienewę, Lozannę, Bern, Fryburg, Leodjum. Należy dołożyć wszelkich starań, by równouprawnić kobiety „cudzoziemki“ z młodzieżą męską zarówno na uniwersytecie, jak i w politechnice. Trzeba szkołę lasową podnieść na stanowisko wyższego zakładu naukowego i stworzyć inne wyższe uczelnie.

Niepoślednią usługę polskości Lwowa oddać też może jego uprzemysłowienie. Ludność robotnicza rusińska składa się przeważnie z pracowników niewykwalifikowanych. Z chwilą powstania tu rozmaitych gałęzi przemysłu, zwiększy się dopływ z zachodu robotnika polskiego, wykwalifikowanego.

Słowem, nie brak sposobów, by nie dopuścić do odebrania polakom Lwowa. Wszystkie one mogą być — przy odpowiednim ich użyciu — znacznie lepsze, niż odmawianie rusinom uniwersytetu w stolicy kraju. W uporze takim trwać mogą tylko ci, co się lękają wszelkiej emulacji, co naród własny chcą frazesami usypiać, by gnuśniał i nie odradzał się do życia nowego, różniącego się od barwnej niewątpliwie, ale jakże tragicznej w swych skutkach, przeszłości.

Józef Sorokowicz.

Autonomja Irlandji.

(Home Rule).

(Dokończenie).

Byłoby wszystko spokojnie na irlandzkim zielonym cmentarzu, gdyby nie chciwość Albjonu. Metropolja mniemała, że oddając na rzeź rolników celtyckich zadowoli w zupełności apetyty lordów protestanckich i całej hordy argonautów anglo-normandzkich i ich miejscowych sojuszników. Owczarze angielscy mieli strzyc runo dzierżawców celtyckich. Cóż im do handlu, do przemysłu? Te nowoczesne źródła bogactwa należało pozostawić monopolistom albjońskim. Parlament angielski zakazuje tedy, nie pytając o zdanie parlamentu dublińskiego, wywozu wełny irlandzkiej i handlu bezpośredniego z kolonjami. Pod wpływem takich zabobnych tendencji wśród kolonji angielskiej w Irlandji zaczyna się wytwarzać stronnictwo opozycyjne irlandzkie, przeciwstawiając siebie metropolji i jej instynktom drapieżnym. Opozycja wzrasta, znajduje oparcie w masie i dwadzieścia lat później, w okresie wojny amerykańskiej parlament dubliński oświadcza, że „nikt niema prawa ogłaszać ustaw w imieniu i dla Irlandji, jak tylko jej król, lordowie i Izba gmin irlandzcy“. Parlament brytański cofa prawo, które był sobie przywłaszczył, i na mocy którego narzucał ustawy irlandzkie. Irlandja staje się niezawisłą. Parlament w pierwszych chwilach wolności znosi dawniejsze haniebne „ustawy karne“, jednak nie przyznaje jeszcze praw wyborczych biernych katolikom. Ta odmowa rzuca zarzewie buntu między ludność katolicką. Echa wielkiej rewolucji francuskiej budzą nadzieje w tęskniących sercach irlandzkich. Na podobieństwo klubów paryskich powstają towarzystwa tajne. Lata 1791—1898 wypełnione są wrzeniem rewolucyjnym. W szczególności w Belfaście wybitny przywódca Teolald Wolf Tone (emigrował 1795 r. do Ameryki), zdobywa licznych zwolenników dla idei republiki irlandzkiej. Hasło „republiki“ niewoli francuzów. Urządzają ekspedycje gwoili wspomaganiu irlandczyków do wybicia się na wolność. Ekspedycje te nie mają powodzenia. Idea republiki irlandzkiej przestaje żyć w r. 1898. Armja okupacyjna angielska wynosi 1798 r. 90,000, 1799 r.—115,000, 1800 r.—130,000. Dawno już podjęta myśl ostatecznego „zjednoczenia“, wcielenia Irlandji do organizmu politycznego angielskiego Pitt wciela w życie. Odnośna uchwała parlamentu brytańskiego zostaje przedstawiona parlamentowi dublińskiemu 5 lutego 1800 r. W Izbie gmin w Dublinie wniosek „Unji“ zdobywa 158 głosów przeciwko 115, w Izbie lordów 78 przeciwko 26. Większość tu i tam była zdobyta zdradą i okupiona złotem. Lord Rosebery opowiada w biografji Pitt'a, że przekupstwo, dzięki któremu zdobyte zostały te uchwały, było przerażające. Niema listu wicekróla albo nadsekretarza dla spraw irlandzkich, w którymby nie dyskutowano ceny takiego albo innego głosu, albo takiej lub innej propozycji zgłodniałego zdrajcy irlandzkiego. „To była atmosfera zamku dublińskiego, powietrze, którem oddychał rząd, jedyna strawa, którą żył w Irlandji“, Parlament irlandzki sprzedał tedy niezależność ojczyzny i przyjął projekt zjednoczenia obu królestw Irlandji i Wielkiej Brytanji jako Królestwa Zjednoczonego Wielkiej Brytanji i Irlandji, w którym wola spiżowa jednej strony (predominant

partner) miała legalnie oskrzydlić wolę i rządzić wolą drugiej.

Więcej niż od lat stu tedy Irlandja żyje pod rządem samowoli legalnej, poniżającej i szkodliwej. Traktat Unji zapewniał równouprawnienie irlandczyków i anglików. Jednak dopiero w r. 1829 katolicy irlandzcy zdobyli prawo bierne wyborcze, a i dziś jeszcze wicekról Irlandji nie może być katolikiem. Wiadomo, że Wielka Brytanja jest nie tylko ojczyzną, ale i piastunką swobód politycznych. W Irlandji każde zgromadzenie publiczne, każdy miting, stowarzyszenie może być rozwiązane i rozpędzone, każdy obywatel uwięziony pod zarzutem zbrodni stanu, zachęcania do buntu i zdrady, do nieposzanowania ustawy i własności. Gdy chodzi o charakterystykę stosunków gospodarczych, nie będzie dalekiem od prawdy, kto powie, że W. Brytanja jest polipem, który tysiącami macków otoczył i ssał w ciągu całego stulecia siły żywotne ludu irlandzkiego. Ziemia irlandzka została skonfiskowana na rzecz najazdu, podarowana landlordom, uprawiana jest od stuleci przez nędznych dzierżawców irlandzkich, wyzyskiwanych i okradanych przez wszechwładnego anglika. Zgłodniały farmer nie może szukać zarobku w mieście, albowiem Anglja zniszczyła przemysł irlandzki. Pozostaje tedy emigracja zamorska, która też pochłonięła setki tysięcy irlandczyków i stała się tysiącrotnie silnem ogniskiem nieustającego buntu w ludziach i środkach. Tam, za Atlantykiem, w ciągu całego pięćdziesięciolecia nie przestawano gotować protestu, walki, zamachów przeciwko znieprawionym wyzyskiwaczom i plantatorom, przeciwko rządowi najezdniczemu, który się z krzywdy urodził i wyzyskiem krwawym rządu swoje utwierdzał. System administracyjny irlandzki jest najdroższy, jaki może być pomyślany, jest oparty na rządach nieodpowiedzialnej zgoła biurokracji. Szkoła ludowa, zaprowadzona przez rząd angielski, nie przestawała (od r. 1831) wynaradawiać dziecka irlandzkiego. Dzieciom rodziców katolickich, tak bardzo sfanatyzowanych za sprawą losów nieszczęsnych — nie wolno było w szkole wspominać o istnieniu wiary katolickiej albo mówić o historii Irlandji. Szkoła miała na celu tworzenie szczęśliwych dzieci angielskich (happy english Childen), jak mawiali angielscy Apuchtinowie. Uniwersytet dubliński (założony przez Elżbietę) powołany jest bronić Unji i protestantyzmu przeciwko narodowcom irlandzkim.

Nie będziemy tu opowiadali całej historii rewolucji irlandzkiej. Pierwszą połowę wieku XIX zdobi imię O'Connella, który żądał, aby akt Unji został odwołany i Irlandji przywrócono prawa, które posiadała. Trapiły Irlandję głody przewlekłe, które (1846—1849) pochłonięły półtora miliona żywotów ludzkich i pchnęły drugie dwa miliony za morze. O'Connell umarł 1847 r. Ale wśród emigrantów rodzić się zaczęli mściciele. W r. 1858 powstaje w Ameryce tajne stowarzyszenie Fenjanów*), które już w r. 1861 liczy w Dublinie do stu tysięcy zwolenników, ogłasza republikę irlandzką, urządza (nieudale zresztą) wyprawy zbrojne na... Kanadę, na zamek angielski Chester, porywa na ulicach Manchesteru karetkę więzienną i uwalnia przywódców swoich, wysadza w powietrze

*) Fenians — zanglizowana pisownia wyrazu irlandzkiego finna = bohaterowie, mężowie od mitycznego bohatera sagi irlandzkiego, Fiun albo Fionu.

mury więzienia w Londynie. Ruch ten zanikał powoli, gdy obudziło się sumienie w Gladstone. Nie darmo on budził sumienie Europy wobec łajdactw i zbrodni rządu w „siostrzanej“ Irlandji. Z jego inicjatywy postawiony został wniosek o zniesienie przywilejów kościoła urzędowego (protestanckiego) w Irlandji. On też domagał się, aby „ścięte zostały trzy gałęzie zatrutego drzewa samowoli: kościół protestancki, urzędzenia własności rolnej i nauczanie szkolne“, Teorja Home Rule'u została sformułowana po raz pierwszy w roku 1873. Zastrzegli się jej inicjatorzy przeciwko wszelkim podejrzeniom o dążenia separatystyczne. Jedność W. Brytanji i Irlandji miała być bezwzględnie zachowana (*salva unitate Imperii*). Ten drugi okres dziejów walki o niezawisłość Irlandji zdobi imię Parnella (1846—1893), anglo-sasa z pochodzenia, od r. 1875 czynnego w parlamencie brytańskim, wielkiego, nieustrudzonego organizatora walki parlamentarnej. Niespożytej energii, wszechobecny, mówca potężny, kochanek tłumu, zorganizował farmerów przeciwko landlordom, zdobywa serca emigrantów irlandzkich w Ameryce dla sprawy i sakiewki, przywozi 1880 r. 72 tysiące funtów z jednej tylko wyprawy krasomówczej—otwiera erę wielkiej polityki irlandzkiej, która prowadzi Gladstone'a do postawienia wyraźnego sprawy autonomji irlandzkiej w parlamencie brytańskim 1886 r.

Nie łatwo odebrać prawa zdobyte. Pomimo, że irlandczycy rzekli się napozór polityki O'Connella, przestali się domagać cofnięcia Unji i przywrócenia Irlandji zupełnej niezawisłości, przeciwnie nie przestawali oportunistycznie podkreślać przywiązania do całości państwa i żądać tylko autonomji, opinja publiczna angielska pomimo większości, jaką Gladstone w Izbie gmin rozporządzał, była przeciwna irlandczykom. Trzeba było jeszcze lat trzydziestu, aby ta opinja dała się przelamać, dała się przekonać, aby ustąpiła. Trzeba było doświadczeń z Kanadą, wojny boerskiej, samorządu i wreszcie konfederacji południowo-afrykańskiej, trzeba było Commonwealth'u australskiego, aby idea autonomji irlandzkiej, jako części Imperjum brytańskiego, rządzącej samą sobą w stosunkach wewnętrznych zwyciężyła. Dwa razy „obalił się“ Gladstone w walce o ten samorząd. Od r. 1893 nie przestawał on schodzić z porządku dziennego. Wprowadzano reformy rolne, dokonano reformy uniwersytetu (Trinity College) w Dublinie w duchu złamania hegemonii protestantyzmu w nauczaniu wyższem (1908). Rząd chciał dążyć do autonomji systemem etapów. Próba samorządu, zapowiedziana prze Birrella (1907), niktogo nie zadowolila, została cofnięta. Od r. 1910 głosy irlandczyków decydować zaczęły o większości rządowej w Izbie gmin. Dzięki tym głosom złamany został upór Izby lordów i sama ta Izba zreformowana w duchu demokratycznym. Gdy i Irlandja sama nie oddaje się tylko spokojnemu wyczekiwaniu „łaski boskiej“, a organizuje się; gdy oportunistowi Redmonda przeciwstawia nacjonalizm O'Brien'a i akcję czynną Sin Fein'u (t. j. „my sami“), wychodzącą z założenia: należy nam ignorować Anglję, jej administrację, sądy i więzienia*), gdy O'Brien zakłada nową Ligę

obrony Irlandji (*All for Ireland Leagen, 1910 r.*), domagającą się samorządu, oddania ziemi farmerom i zmniejszenia podatków—cóż dziwnego, że rząd Asquitha i Lloyd-George'a śpieszy ze zgłoszeniem projektu Home Rule'u. Mowa tronowa 1912 r. zapowiedziała w wyrazach ogólnikowych „projekt reformy rządu dla Irlandji“. Sam projekt złożono Izbie gmin 14 kwietnia i przyjęto w pierwszym czytaniu 19 kwietnia.

Po raz trzeci losy odrodzenia Irlandji rzucone. Wątpić należy, czy równie nieszczęśliwie, jak za dni Gladstone'a. Anglja Asquitha nie jest już Anglją Gladstone'a. W dobie powszechnej demokracji, nieustającego wrzenia robotniczego, rewolucji sufrażystek, obalenia ostatnich przywilejów Izby lordów—w interesie samozachowawczym istniejącego rządu wielkobrytańskiego leży zaspokojenie żądań irlandzkich. Spełni się tedy skarga O'Connella, marzenie Gladstone'a, spełni się przepowiednia Parnella. Nie darmo cierpiało tyłu, w nędzy, w więzieniach, dźwigając w piersi zmęczonej widzenie wolniejszej, godniejszej, szczęśliwszej Irlandji.

Stanisław Posner.

Nasza dyplomacja.

Polska prasa w Galicji namiętnie politykuje w zakresie polityki zagranicznej. Nie możnaby było nic mieć przeciwko temu—pisze „Kurjer Poranny“—gdyby w jej artykułach temu przedmiotowi poświęconych było źródłowe oświetlenie istotnego położenia i ściśle rozważenie następczących się ewentualności. Tak jednak nie jest. Strona informacyjna ogranicza się do telefonicznych albo mechanicznych streszczeń artykułów prasy wiedeńskiej. Oryginalne elaboraty zajmują się li tylko kazaniem i wskazaniem na temat „zastanawiania się nad rolą polaków wobec grożącej burzy dziejowej“. Niektóre dzienniki stawiają nawet wprost pytanie: „Co czynić?“ i twierdzą, że myśl polska zaprzątnięta być dziś może tylko tem jednym pytaniem. Poza dziennikami, koła politykujące także radzą nad tym przedmiotem, radzą poufnie, w szerszych lub węższych kołach. Ani do tych artykułów, ani do tych porad nie można oczywiście przywiązywać żadnej poważniejszej wagi. Że w takich chwilach, jak dzisiejsza, ludzie mówią o wojnie i o tem, co za sobą wojna może pociągnąć, to jest naturalne. Że jedni mówią o tem poprostu przy szklance piwa, a inni potrzebują do tej rozmowy aż „konstytuować posiedzenia“; to już jest kwestja większego lub mniejszego „namaszczenia indywidualności“. A któż się może dziwić, że dziennikarzom polskim tak trudno przyzwyczać się do tego, iż nawet wówczas, kiedy burza może przejść przez ich ojczyznę, społeczeństwo dla którego piszą, ma być tylko piaskiem, gnany przez huragany?

Na szczęście—burza jeszcze nie wybuchła. Ta godzina dziejowa, która w tych dniach wybiła, zbliża nas niewątpliwie do rozstrzygnięć obcho-

*) Ze względu na pewne analogje publicystyczne, w ostatnich czasach ujawnione w prasie galicyjskiej, niechaj znajdzie tu miejsce parę wyrazów z manifestu tej organizacji (założonej w r. 1905): „Działajmy tak, jak gdyby Anglji nie było; jeżeli mamy spory, zamiast odwoływać się do sądu,

wybierajmy arbitrow; niechaj Irlandja posiada zagranicą własnych konsultów dla obrony interesów ekonomicznych, niezależnie od urzędowych konsultów wielkobrytańskich“. Jednak i Sin Fein nie jest za separatyzmem. Skłania się raczej do stosunków, jakie panują pomiędzy Austriją a Węgrami.

dzających nas bardzo zbliżka, ale niema jeszcze pozytywnych powodów do przypuszczenia, aby tym rozstrzygnięciom towarzyszyły pioruny zawieruchy wojennej. Nie początek wojny bałkańskiej, ale jej likwidacja będzie momentem decydującym. Według wszelkiego prawdopodobieństwa likwidacją tą zamie się kongres europejski.

Zamiast tedy myśleć o wojnie, której jeszcze niema i której może jeszcze nie będzie, byłoby zapewne ze strony tych, którzy ze względu na swoją bezbronność jako czynnik w rachubach wojennych stanowią *quantité negligéable*, daleko rozsądniej przygotowywać się do jakiegokolwiek kulturalnego i pokojowego zaważenia na szali postanowień mających wymierzać w Europie Wschodniej sprawiedliwość pokrzywdzonym narodowościom. Gdyby nawet pożar bałkański przenieść się miał wbrew przewidywaniom doraźnie na Europę Środkową, ostatecznie nie tyle jego zbrojne wyniki, ile ich ostateczna likwidacja mogłaby mieć jakikolwiek bezpośredni związek z naszą przyszłością. Myśli społeczeństwa polskiego nie ku wojnie zatem ale ku tej likwidacji pokojowej zwracać się winny, która w każdym razie prędzej czy później stanie na porządku dziennym spraw politycznych Europy. Im mniej społeczeństwo polskie płatać będzie swoje losy z hazardem wojennej loterii, im spokojniej, trzeźwiej, poważniej przygotowywać się będzie na przetrwanie katastrofizm w budzącej szacunek zimnej krwi i rezerwie, tem mocniej będzie mogło podnieść głos z postulatem poprawy swego bytu narodowego w jakiejkolwiek konstelacji układu sił, które nami dowolnie będą rozporządzać pod względem terytorjalnym.

Odnosi się to przede wszystkim i prawie wyłącznie do społeczeństwa galicyjskiego, które ma najmniej do zyskania a najwięcej do stracenia. Patryjotyzm austriacki, który się w tem społeczeństwie wytwarza, przybiera w nim niekiedy charakter niebezpiecznej mózgowej gorączki: to co w koncepcjach politycznej szkoły krakowskiej miało być zimnym wysiłkiem rachuby dyplomatycznej, w sferach wprost przeciwległych idejom tej szkoły przybiera nieraz charakter niebezpiecznych gorączkowych fantasmagorji. Pewne sfery austriackie wyzyskują te fantasmagorje w sposób w wysokim stopniu niesumienny, starają się budzić jakieś nieuchwytnie nadzieje, podtrzymywać złudzenia, dawać nieokreślone obietnice, podszeptywać jakieś zachęty. Trzeba niezmierniej naiwności politycznej, aby się dać łapać na te dość ordynarnie zastawiane wędkę na łatwowierność i dobroduszość polską.

Ale jakże brać za złe niedowarzonemu głowom, że dają sobie macić mózgi podrzędnym oficyalistom policji dyplomatycznej, kiedy na innej ścieżki podobnych bagnisk zabrnął u nas przywódca stronnictwa, do dni wczorajszych uważającego się za sklep z głównym składem idei narodowych. W ostatnim numerze „Prawdy“ Ludwik Kulczycki opowiada o krotocwilnej ambasadzie, której się podjął poległy kandydat na wyborcę X cyrkułu Warszawy p. Roman Dmowski w salonie dworu podolskiego polityka polskiego p. Tadeusza Cieńskiego, na wspólną z słynnym „wrogiem równouprawnienia narodowości“ p. Jarońskim z Kieleckiego. „Omawiano obecną sytuację polityczną w Galicji, Królestwie i Europie, — pisze Kulczycki — Dmowski wystąpił jako pojednawca Austrii z Rosją, żądając, aby polacy z trybuny parlamentarnej wypowiedzieli się za zgodą pomiędzy temi

państwami. Wywody swoje poparł argumentem, że skoro polacy zaakcentują w Wiedniu swoje pojednawcze stanowisko wobec Rosji, to łatwo mu będzie uzyskać dla Królestwa poważne koncesje polityczne“. Ostatecznie pp. Piniński i Jędrzejowicz wystąpili w delegacjach z bardzo niewyraźnymi, słabymi, chaotycznymi, bezbarwnymi mowami, w których przebijał leciutki cień wskazań p. Dmowskiego; p. Korytowski, nie wciągnięty do porozumienia, mówił także niewyraźnie, słabo, chaotycznie, bezbarwnie — z leciutkim akcentem w sensie wprost przeciwnym. Oczywiście na te wszystkie mowy bez treści nikt nie zwrócił uwagi.

„Można mieć rozmaite poglądy na politykę zagraniczną Austrii — pisze p. L. K. — istosunek do naszych spraw, stosownie do kryterjów, pod których kątem widzenia ją się rozpatruje. Nie chodzi tu więc o to, czy p. Dmowski miał rację, czy nie. Występuje tu natomiast inna sprawa: kogo p. Dmowski reprezentował, kto mu dał mandat do przemawiania imieniem ludności Królestwa, na jakiej podstawie wreszcie obiecywać może zmiany stosunków w niem na wypadek usłuchania rad jego przez polityków polskich w Galicji?“

Wszelkie organizowanie zagranicznej dyplomatycznej orientacji Polski w dzisiejszych naszych warunkach politycznych musi być samozwańcze.

W szpitalu.

*Naprzeciw słońcu wybiec i z rozkwitłej ziemi
Brać roskosz chciwą dłonią i sercem radosnem!..
I cały świat ogarnąć spojrzeniem miłosnem!..
I pierś i oczy poić blaski słonecznemi!..*

*Aż życie się odmieni i stanie się krosnem,
Na którym dłoń twa wytkła niemi tęczowemi
Szczęście — radosne szczęście — które duch oniem
I bogom każe patrzeć spojrzeniem zazdrosem!..*

*Naprzeciw słońcu wybiec!.. Tam za oknem jesień,
I noc się sroży ciemna... My tutaj bezpieczni.
W szpitalnej sali cisza gasi żar uniesień!..*

*I w mózgu trzeźwych myśli powstaje czereda...
Czyż słońce nigdy życia już nie rozstaniecni?!..
Przy łóżku mojem wędnie samotna rezeda...*

Bolesław Zahorski.

TEATR ZIMOWY.

Wobec szczerze zapelnionej sali, w gmachu po-cyrkowym, zainaugurowała dyrekcja pp. Pawłowskiego i Strycharskiego sezon zimowy „Cyganerja“ Nowaczyńskiego.

Wybór sztuki niedzielnej wypadnie nazwać trafnym.

Nowaczyński należy do twórców, których można lubić, lub nie lubić, uznawać — lub odwrot-

nie: nie można jednak odmówić mu dużego talentu i indywidualności tak wybitnej, że każda jego rzecz teatralna, choćby najmniej sceniczna, przykuwa uwagę widza. Czy nie oglądamy właściwie w coraz nowych sztukach bogatego w wyrazach, w odbiciach swych pomnożonego, a zawsze identycznego oblicza samego autora? — czy nie słyszymy w „Samozwańcu“ i w „Fryderyku“ i w „Cyganerji“ głosu tego samego ciągle p. Nowaczyńskiego — przedewszystkiem racjonalisty, potem Zoila, potem Poety i mima? — rzecz to drugorzędna.

Z zainteresowaniem przyglądamy się sztukom jego, słuchamy ich uważnie.

Zimne są jednak dwa pierwsze akty „Cyganerji Warszawskiej“. Zimne — dopóki nie wystrzeli, nie zagra na sercach naszych dziwna, bardzo dziwna fermata: na najpiękniejszym słowie akcent położony, na Po...ezji.

Romantyzm?

Od tego to „romantyzmu“ wieje dopiero ciepło w sztuce; za sprawą tej poezji właśnie autor — a za nim artyści i publiczność znajdują serdeczne porozumienie, tak romantyczne, tak poetyczne, że aż wątpić się chce, czy tej dominanty właśnie pragnął uczony, a cierpki autor „Meandrow“?

* * *

Premjera drugiego wieczoru teatralnego, komedja Nikorowicza w „Gołębniku“, najpierw zmusza do uśmiechu, potem podbija.

Nie dopotrzyłem się w niej znamion Fredrowskich, jak tego chcą niektórzy krytycy warszawscy. Sztuka ma atoli inny walor: ogromną pogodę i frasobliwość.

Dziwimy się z początku, nie wierzymy prawie: czyżby ten niewinny i sielski, pod szklanym chyba kloszem grający się obrazek, był dziełem polaka?

Tak bardzo odwykliśmy od pogody!

* * *

Z „wielkiego“ repertuaru pokazano nam „Mazepę“. Zbyt wiele razy pisano o Słowackim na wileńskiej scenie, by się tu coś dodać dało. Zaznaczę tylko, iż wystawiono arcydzieło dramatyczne z należnym pijetyzmem, ubierając akt I w ramy tak efektowne, jakich dotychczas Wilnu nie dała żadna reżyserja.

* * *

Ostatnią w rzędzie premier inauguracyjnych była „Lora“ — farsa wiedeńska Schoenthana, wesoła i dosyć dowcipna, a choć nie posiadająca brylantowej faktury paryskich spółek — oryginalna przez brak sytuacji pieprznych i drastycznych.

Właściwie takie sobie lekkie nic, albo raczej: jedna rola przewyborna, charakterystyczna, żywa: tytułowa.

* * *

Przechodząc do oceny gry pragnęlibyśmy na wstępie poświęcić słów kilka pannie Arkawinównie.

Widywaliśmy w Wilnie różnemi czasy różne Amelje; miewały nieraz dobre liryczne akcenty i dużo siły dramatycznej, lecz zazwyczaj nie mogły się ustrzec, by nie kwilić żałośnie.

P. Arkawinówna była Amelją w najszlachetniejszym stylu: miała Słowackiego piękny sentyment, lecz nie miała sentymentalizmu; miała dumę i była tą postacią kobiecą bardzo białą, która nas czaruje zawsze w wielkiej polskiej poezji.

P. Knake-Zawadzki — aktor dużej miary, posiadający warunki godne zazdrości: postawę i przepyszny głos — w obu swoich rolach zbierał zasłużone oklaski. Gorgonjaszem w „Cyganerji“ był plastycznym i zarysowanym silnie; w „Mazepie“ znalazł najwłaściwsze zastosowanie swoich zdolności, to też wojewoda jego w grze pewnej, w gracie zupełnie skończonym, wrył się nam w pamięć.

P. Pawłowski — artysta Wilnu dobrze zasłużony i popularny, grał Mazepę. Choć rola ta zdaje mi się leżeć nie całkiem w skali jego talentu, włożył w nią siłę szczerzego temperamentu.

W lekkiej komedji Nikorowicza znalazł dla siebie właściwe pole popisu, bawiąc i ujmując jednocześnie swoim humorem i rozmachem.

Przeważna większość towarzystwa tegorocznego składa się z sił młodych, nieznanymi nam zupełnie.

Na razie powstrzymamy się od sądu o grze poszczególnych artystów, których pragnęlibyśmy poznać na scenie bliżej.

Wypadnie nadmienić, iż młoda drużyna zrobiła prawie bez wyjątku jaknajsympatyczniejsze wrażenie.

Tymczasem zas zarysowała się w sposób zdecydowanie dodatni indywidualność sceniczna p. Sachnowskiej, młodej artystki, którą poprzedziła — słuszną — fama doskonałej charakterystycznej.

W „Gołębniku“ — w roli drobnej potrafiła wyróżnić się sympatycznie.

W „Lorze“, w roli tytułowej grała z werwą, zwracając na siebie uwagę wyborną grą mimiczną.

Dorobek pierwszego tygodnia teatralnego zachęci niewątpliwie szerszą publiczność do częstego odwiedzania teatru.

Może się przyczyni do tego i doża zwykłej ludzkiej ciekawości: jakie to młode i wdzięczne siły pozyskała scena wileńska?

Zobaczymy.

Zdzisław Kleszczyński.

MARCELI PRÉVOST.

SIMONE i BOZIA.

Mieszkam obecnie u jednej ze swych siostrzenic w Gaskonji. Podczas gdy wszędzie gazety rozpaczają, że potoki wody zalewają Francję, ja z roskoszą spostrzegam każdego ranka przy przebudzeniu, że błyszczące słońce oświeca wieś, gdzie ongi walczyli Montluc i baron des Adrets. Tylko jest trochę chłodniej, niż innych lat; winiarze są zaniepokojeni: czy to jasne słońce, które wcale nie grzeje, wzbogaci dostatecznie cukrem winne jagody? Coprawda, pierwsze grona zerwane, — które Simone przynosiła mi rano z tryumfem do pokoju, — wydały się kwaskowate.

Simone jest jedynaczką mojej siostrzenicy. Ma szósty rok. Jest nadzwyczaj mądra, a jej inteligencja jest zupełnie nowoczesna. Mówi z wyższością o radjatorze, o zmianach szybkości i nie popełnia żadnego błędu co się tyczy cylindrów lub siły jej — jak

powiada—automobilu, uważając, że wszystko dookoła jest najprzód dla jej użytku. Tłomaczy gościom jak działa ogrzewanie centralne domu; objaśnia o baterji elektrycznej. Nie twierdzą, żeby za te objaśnienia była przyjęta do politechniki: ale jednak nigdy nie mówi głupstw. Jej umysł, nadzwyczaj pozytywny, ogarnia znakomicie to, co można zobaczyć, usłyszeć, dotknąć...

* * *

Bardzo wrażliwa na rzeczywistość, moja mała siostrzeniczka Simone nie ma najmniejszego zamiłowania do metafizyki. Wprowadza w kłopot matkę, która jest mocno nabożną, tysiącem dokładnych pytań w kwestjach religijnych. Zresztą, przykładnie odmawia pacierz rano i wieczorem; ale dodaje uwagi według swego zapatrywania. Bozia, dla niej, to najwyższy rządca, którego się nie widzi, ponieważ mieszka trochę zadaleko, ale który ma dostatecznie czułe ucho, ażeby usłyszeć w każdym razie nasze słowa.

I chociaż papa, albo mama, albo „mój wujek“, albo Titina — Titina jest jej piastunką — mają rację bytu dla szczęścia Simone, Simone jest przekonaną, że Bozia, będąc osobą wyjątkowo ważną, tem nie mniej jednak istnieje do jej usług. Mówi też to w dni, kiedy zachodzi coś nieprzyjemnego. Dodaje wówczas do modlitwy apostrofy jak naprzykład:

— Mógłbyś przecież, Bozia, przeszkodzić, ażeby w tym roku nie było we wszystkich brzoskwińiach robaków. To jest głupie.

Albo:

— Kazałeś papie rano gniewać się na mnie... To ja ci nie powiem pacierza do końca.

Titina protestuje; matka wznosi ręce do nieba. Nic nie pomaga. Simone sama, według własnych zapatrywań, reguluje swoje stosunki z Wiecznym Budowniczym.

* * *

Jak i wiele innych miejscowości w Gaskonji nasza wioska jest podzieloną, prawie na równo, pomiędzy protestantami i katolikami. I w tym kraju, gdzie dwóch wielkich wrogów, których imiona pozostały sławne, walczyło z okrucieństwem,—dzisiaj panuje cudowna tolerancja. Proboszcz brata się z pastorem. Podczas święta 8 września, obchodzonego szczególnie pielgrzymką w sąsiedztwie, przesuwa się procesja po przez równiny. Bierze w niej udział trzecia część hugonotów.

Tego roku Simone zadecydowała, że chce być obecną podczas pielgrzymki 8 września. Radość matki i Titiny: ponieważ Simone nie okazuje zbyt żywej ciekawości do praktyk religijnych. Mama i Titina nie wiedzą, że szofer, rozmawiając z Simone, powiedział jej, iż na pielgrzymce chłopcy i dziewczynki będą rzucali konfetti. A właśnie konfetti niesłychanie bawią Simone. Chce iść na pielgrzymkę, ażeby rzucać konfetti. Zwierzyła mi się z tem, zalecając największy sekret.

8 września zabiera więc angielski kabriolet Simone, powierzoną Titinie. Mama nie może wyjechać, ponieważ dom jest pełen gości. „Mój wujek“ wykańcza pilną pracę. Czas jest rozkoszny: cudowna wycieczka z początku na płaszczyźnie u stóp pagórków, potem przez drogi pobrużdżone korzeniami choin. Przyjeżdżają. Trzy tysiące wiernych obozuje pod sosnami wokoło błogosławionej fontanny. Wszędzie popasający obok rozstawionych wózków; wszędzie małe koniki miejscowe i spora ilość osiołków, poprzywiązywanych do drzew. Rżenie i ryki. Dymiące kuchnie na wietrze, sklepiki jarmarczne, zabawki: po

południu będzie to zwykła hulanka, uciecha równie dobra, jak inne. Lecz w chwili, kiedy przybywa Titina i Simone, góruje święto religijne. Msza się kończy. Przygotowują baldachim do procesji.

Simone, zbyt mała, łąduje się na jakies krzesło, ale nie może dojrzeć ani ołtarza, ani księdza, ani cudownej fontanny. Nudzi się. Niecierpliwi. Pyta Titiny, o której godzinie zaczną rzucać konfetti.

— Wkrótce, mówi Titina znizonym głosem. Po procesji. Naprzód poprowadzą Bożię na przechadzkę. Przypatrz się dobrze!

Simone robi się poważną: przestaje pytać. Przechadzka Bożi! O, to nie jest zwyczajne. Ta osoba tak mało towarzyska zbliży się nakońcu na odległość, z jakiej widać papę, mamę, mojego wujka i Titinę? To warte kilka chwil grzeczności. Simone potulnie pozwala się prowadzić przez Titinę na brzeg drogi, którą ma przejść procesja.

Oto małe dziewczynki w muślinowych sukienkach, oto dzieci z chóru, oto służba kościelna, oto najrozmaitsze bractwa... Simone, pomimo wdychań Titiny, patrzy z przelotną uwagą: nie to wszystko ją teraz interesuje. Śledzi z ciekawością baldachim, który się zbliża, baldachim biały, w złocie, baldachim otoczony dymem kadzidel, baldachim, pod którym—ona przeczuwa—coś się dzieje.

Zbliża się powoli; już jest obok. Kobiety kłękają; pochylają się czoła mężczyzn. Titina szepcze:

— Schyl główkę, Simone. Oto Bozia...

Simone zniża głowę, ale jednak rzuca okiem, przy przejściu, pod baldachim. Spozstrzega księdza kanonika, ubranego w kapę, rozpostartą za brzegi przez dwóch wikarych, i trzymającego w rękach promieniejącą monstrancję. Kanonik jest krótki, okrągły drepcze z trudem po wyboistej drodze, sapiąc...

* * *

Simone zjadła śniadanie u przyjaciół niedaleko miejsca pielgrzymki: powróciła z Titiną po południu i oddała się z zapałem zabawie w konfetti. Jej jasne włosy były usiane różnobarwnymi krążkami, kiedy wtargnęła do mego pokoju około piątej godziny, ażeby opowiedzieć o wycieczce. Mówi mi obszernie o kołowrotkach, o maleńkich aeroplanach, o restauracjach na odkrytem powietrzu, o osiołkach i ludziach. Opowiada o swoich czynach walecznych. Wypróżniła cztery torby konfetti.

W końcu pytam:

— A procesja?

— Wcale nieźle, odpowiada. Och, nic znowu tak bardzo zabawnego... A wiesz, mój wujku? Widziałam Bożię...

I jak gdyby chciała złagodzić zdziwienie, które wywołuje ta nadzwyczajna nowina, dodaje, ze spokojną miną:

— Taki mały grubasek...

Tłom. z franc. R. D.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Ignacy Dąbrowski. „Samotna“ (nowele). Str. 235. Warszawa (bez daty). Nakład Gebethnera i Wolffa.

Dąbrowski należy do rzędu tych autorów, którzy wytwarzają w duszach czytelników atmosferę hartu. Nie lubi on sobie pobłażać, nie pobłaża on swoim bohaterom, nie roztkliwia się nad ich nędzą lub głupotą. Pragnąłby na ramionach

swoich unieść świat cały w krainę piękna i moralności, lecz nie jest sentymentalny wobec wad ludzkich. Widzi nawet tam słabość, gdzie przeciętny człowiek nie dostrzeże nic ponad przelotny kaprys.

Jego „Samotna“, jego „Niepotrzebny“ to właśnie dowody tego mocnego, wymagającego stosunku do świata. W epoce demokratyzmu, w epoce nawoływań, by jaknajmniej było na świecie analfabetów, pokaże on tragiczne oblicze niepotrzebnego Buraka. Bo na cóż przydaje się Burakowi wiedza, po co mu dyplom uniwersytecki, gdy nie zazna w życiu chwili szczęścia. Pozostawił swoje środowisko stróżowskie, a zdolności jego i ambicje nie sięgają poza nie. Wyrzucony na obce pole pracy widzi, jak jest niepotrzebny, a przecież byłby z powodzeniem odziedziczył po ojcu miotłę.

„Samotną“ radzę przeczytać, szczególnie matkom. Emancypantki też wiele się nauczą. Takim tu bowiem ogromnym głosem woła zmarnowane życie kobiece. Tak pokazuje nicość wychowania społecznego. Tak dosadnie przeczy „emancypacyjnym“ uroszczeniom różnych „sufrażystek“. Straszna jest bowiem chwila, gdy w kobiecie obudzi się świadomość jej przeznaczenia. W „Samotnej“ myśl ta posiada plastyczny wyraz.

Ciekawą też jest nowela o „Starej matce“. Chciałoby się nosić pamięć o rodzicach w sercu. A jednak ciągle zapominamy o nich. Fatalizm tego jest smutny, ale nic temu zaradzić nie możemy, gdyż tkwi w tem prawo biologiczno-naturalne. O nas zapomną nasze dzieci i tak w nieskończoność. Może staramy się o pijetyzm — ale istotnie jest martwy punkt w tym pijetyzmie. Gdy zaczynamy żyć — musimy wypełnić nasze zadanie a to przeczy pijetyzmom, usuwa go na dalszy plan. Błędne koło tego dziwnego stosunku do rodziców ujął Dąbrowski w plastyczną nowelę. Kona stara matka, chowają ją i pomaleńku zapominają wszyscy, że żyła, że myślała, że pracowała wraz z nimi. Scena konania pod piórem Dąbrowskiego nabiera soczystych barw bajecznej wizji artystycznej.

Wogóle wszystkie nowele Dąbrowskiego stoją na wyżynie wymagań artystycznych. Posiadają przedziwną plastykę kształtów. Czarują stylem prostym a jednak mocnym i ekspresyjnym. Dąbrowski unika wszelkich niepotrzebnych ornamentów, prostota jego jest tak przedziwnej kunsztowności, że należy ją poczytywać za wyjątkowy a drogocenny dar pisarski.

Władysław Bukowiński. „Na Przełomie“ (poezje) str. 189.
Warszawa 1912. Wydawnictwo „Sfinksa“.

Bukowiński w tomie poezji, które obecnie ogłosił drukiem, śpiewa pean na cześć rozlewności życia. Nie pominął też lat rewolucji i oddał jej kilka swoich bojowych nut. Przyroda polska i dalekie niebo egipskie znalazły też odzwierciedlenie w strofach jego liryki. Do najlepszych wierszy tego zbiorku należy sonet „Chryzantemy“ poświęcony żonie poety, Marji Bukowińskiej. Spowiada się w nim autor:

Fioletowe, złote chryzantemy —
Kwiat jesienny posyłam ci w darze...
W jesień złotą już i my płyniemy
Lecz o wiosny czarach jeszcze marzę...

Tomik poezji Bukowińskiego należy do lepszych zbiorków liryki społecznej. Technie z nie-

go niezmaćoność ducha, świeżość uczuć i przedziwna szczerłość. Kto kocha poezję, niech Bukowińskiego liryki przeczyta.

Marjan Dubiecki. *Romuald Traugutt i jego dyktatura podczas powstania styczniowego. (1863—1874)*. Str. 256. Kijów 1911. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego.

Dzieje powstania styczniowego nie są jeszcze należycie opracowane. Właściwie Berg kuśił się o takie rze zowe przedstawienie całej sprawy, ale pochodzenie przeszkodziło mu wejrzeć w dusze i serca polskie. Stąd też wypłynął cały szereg bałamutnych uogólnień i fałszywych charakterystyk. O Traugucie naprzykład rozbieżnie powstały zdania. Niby wszyscy oddają mu palmę bohaterstwa, ale fizjonomja jego nie przez wszystkich w jednokomem postawiona jest świetle.

Marjan Dubiecki pracą swoją raz na zawsze ustala jego rysy charakterystyczne. Znał on Traugutta osobiście; brał udział w jego zamierzeniach; był mu pomocnikiem, towarzyszył aż po ostatnią jego godzinę, zamknięty, jak i on w cytadeli warszawskiej.

Książka p. Dubieckiego ma na celu rozwianie legiendy, że powstanie styczniowe nie miało człowieka, któryby umiał w mocnych rękach trzymać ster pałającej duszy. Według Dubieckiego Traugutt był wymarzoną wodzem. Jego półroczna, tajna dyktatura wskazuje, jak zdolnym umiał być wodzem, skoro umiał wobec przewagi kierować powstaniem. Że jego samotna, wytężona praca nie mogła wystarczyć za wszystkich, za naród cały — nie powinniśmy się dziwić. Wtedy gdy wszyscy ręce opuszczali — umiał Traugutt ukrzepić ducha waleczności w garstkę powstańców. Sam zarządzał i reprezentował powstanie na zewnątrz i wewnątrz.

Traugutt był oficerem rosyjskim. Brał nawet czynny udział w wojnie Krymskiej porzucił wojskowość dla pracy na roli, ale budzące się wtedy nadzieje rzuciły go w wir patryjotycznej propagandy. Był on w Paryżu i tu obracając się w kole ludzi wpływowych, otrzymał zapewnienie, że rząd francuski nie popkapi poparcia polakom. Jak się skończyło to poparcie — wiemy. Traugutt zawisł na szubienicy, wygnano do Syberji tysiące ludzi. Nie czas dziś rozpamiętywać, ani żałować tego, co było. Wszystko co się stało — że się stało, miało swoją celowość.

Dubiecki charakteryzuje Traugutta, jako człowieka niezwyklej religijności. Modlitwa była dla niego jakimś mistycznym pokrzepieniem. Co dzień od rana spędzał po parę godzin na religijnej kontemplacji. Wiara ta pozwoliła mu też umrzeć po bohatersku, spokojnie.

W więzieniu zachowywał się ze stoicyzmem. Nie narzekał na los, nie oskarżał nikogo. Do książki swojej dodaje p. Dubiecki dwie reprodukcje z wizerunkami Traugutta oraz podobiznę domu z ulicy Smolnej, skąd wzięto dyktatora.

Książka p. Dubieckiego dotychczas nie miała debitu u nas wskutek cenzuralnych rozporządzeń. Obecnie zezwolono na jej wydanie i u nas, a więc kogo interesuje niezwykła postać ostatniego polskiego dyktatora, niech książkę p. Dubieckiego przeczyta.

Eust. Czekalski.

Badania naukowe.

Henri Bergson. „Matière et Mémoire“ 1912 8 wydanie.
Paris. Felix Alcan.

(Dokończenie).

Punktem rzeczywiście ważnym, wiążącym obecną dyskusję, jest postulat Bergsona o czysto psychicznej pamięci niezależnej od łącznej przyzwyczajeniowej pamięci, już uznanej przez wiedzę. Ten to postulat oddziela go od ogólnie przyjętego poglądu naukowego.

Bergson nie przestaje z rozmaitych punktów widzenia napastować teorii, że mózg jest magazynem myślowych pojęć obrazów. Biorąc jako przykład słuchowe pojęcia, utrzymuje autor, że pojęcie słowa nie jest rzeczą dobrze określoną i ustaloną, lecz zmienia się nieznacznie w wymowie i t. d. każdego czasu jest inaczej słyszana. W myśl hipotezy, że mózg nagromadza pojęcia (p. 123—147), musicie uznać, że „zatem tam tyleż słuchowych wspomnień tegoż samego słowa, ile jest odmiennych brzmień (timbres) głosu i skal dźwięku. Czy sądzicie że wszystkie te obrazy zawrą się w mózgu“?

Bergson mówi nam, że afazja czuciowa także budzi nieufność do fizjologicznej hipotezy (p. 124—149). „Jeżeli wspomnienia, rzeczywiście są złożone w komórkach kory mózgowej, to wypadnie stwierdzić naprzykład w afazji czuciowej, niepowetowaną stratę pewnych określonych słów i całkowite zachowanie innych. W rzeczywistości rzeczy nie tak się mają“.

Co to za osobliwe zdarzenie, że tam zachodzi ogólne osłabienie czynności bez zmniejszenia liczby wspomnień. W prawdziwych afazjach, gdzie pamięć słów jest zupełnie zatracona, upadek rozpoczyna się imionami własnymi i kończy się czasownikami (p. 127—151, 152). Nie widziałoby się żadnego sposobu wyjaśnienia, jeżeli by obrazy słów rzeczywiście były złożone w komórkach kory mózgowej; czyż nie byłoby zadziwiającem w samej rzeczy, żeby choroba zawsze miała naruszać te komórki w tym samym kolejnym porządku? Lecz fakt się tłumaczy jeżeli się przypuści wraz z nami, że wspomnienia—ażeby się urzeczywistnić, potrzebują pomocnika motoru i że wymagają ażeby być przypominaniami rodzaju układu myślowego zawartego w układzie cielesnym. Wówczas słowa, których istotą jest wyrażać „naśladowcze działania“ są ściśle słowami, które wysiłek cielesny pozwoli nam ponownie pochwycić w czasie, kiedy czynność mowy będzie bliską ulotnienia się; przeciwnie zaś imiona własne będąc z pośród wszystkich słów najwięcej oddalone od tych nieosobistych czynności, które nasze ciało może nakreślić, są temi, które osłabienie czynności może naprzód dotknąć“.

Bergson następnie przechodzi do dowodzenia, że introspekcja prowadzi do tych samych wniosków, „podsumowując swoje wnioski jak następuje (p. 143).“ Rozróżniliśmy trzy procesy: czystą pamięć, pamięć—obraz i percepcję, z których żaden wreszcie, faktycznie, nie wytwarza się osobno. Percepcja nigdy nie jest prostem zetknięciem się ducha z obecnym przedmiotem; jest ona cała przesiąkniętą wspomnieniami — obrazami, które ją uzupełniają i ją interpretują. Ze swej strony wspomnienie — obraz bierze udział we „wspomnieniu czystym“, które ono poczyna materializować i w percepcji, gdzie dąży do wcielenia się;

rozpatrywana z tego punktu widzenia określiłaby się powstająca percepcja. Wreszcie wspomnienie czyste, bezwątpienia niezależne w teorii, normalnie nie przejawia się inaczej jak w żywym i barwnym obrazie, który je ujawnia“.

Assocjejonizm jest wybrany przez Bergsona w celu szczególnego napastowania. Potępia go na podstawie tego, że rozszczepia on umysł na odosobnione elementy leżące biernie jeden obok drugiego, oddalone doprawdy od żywej rzeczywistości, która jest „ciągłością stawania się“.

Dowodząc, że czysta pamięć jest istotnie odzieloną od życia, powstaje pytanie, gdzie się podziewają pamięci? Jeśli istnieją „qua“ pamięci i jeżeli teoria, że mózg je zawiera, jest fałszywą, gdzież więc są umiejscowione?

Błąd zawarty jest w samym pytaniu (p. 161) „Przypuśćmy na chwilę, że przeszłość trwa pod postacią pamięci nagromadzonej w mózgu. Wówczas zajdzie potrzeba, by mózg dla zachowania wspomnień przynajmniej sam siebie zachował. Lecz ten mózg o tyle o ile jest obrazem rozpostartym w przestrzeni, zachowuje zawsze tylko chwilę obecną; na równi z resztą materialnego wszechświata stanowi on odcinek powszechnego stawania się wciąż odnawiany. Albo zatem przypuścicie, że ten wszechświat cudem zanika i odradza się w każdej chwili trwania albo będziecie musieli (przypisać mu) przenieść na niego ciągłość trwania, której odmawialiście świadomości i zrobić z jego przeszłości rzeczywistość, która przeżywa siebie i przedłuża się w teraźniejszość“.

Ostatecznie jest to błędem przypuszczać, że przeszłość przestała istnieć, ona jeszcze istnieje. Czysta teraźniejszość składa się tylko z „niewidocznego postępu przeszłości wgrzyzającej się w przyszłość“. — Przeszłość nie jest przeszłością w sensie zaprzestania istnienia, lecz jedynie jako zaprzestanie być pożytecznym (p. 194). Wszystkie fakty i wszystkie analogie przemawiają na korzyść teorii, która uważa mózg jedynie za pośrednika pomiędzy wrażeniami i ruchami, który z tego zespołu wrażeń i ruchów robiłby krańcowy szczyt umysłowego życia, szczyt bezustannie wgniatany w tkaninę wydarzeń i która (teoria), przypisując tym sposobem ciałom jedyną czynność naprowadzania pamięci w kierunku rzeczywistości i łączenia jej z teraźniejszością, uważałaby tę pamięć jako bezwzględnie niezależną od materji. W tym sensie, mózg przyczynia się do przypominania wspomnień użytecznych, lecz jeszcze więcej do usunięcia (prowizorycznie) tymczasowo wszelkich innych. Nie widzimy w jaki sposób pamięć osiadłaby w materji, lecz rozumiemy dobrze w myśl głębokiego orzeczenia jednego współczesnego myśliciela (Ravaissona) że „materialność wytwarza w nas zapomnienie“.

W obu pracach: w „Ewolucji twórczej“ i w „Materji i pamięci“ ciosy Bergsonowskiej napasści spadają na t. z. materialistyczną filozofję, która jest uważana za podrzędną wiedzę. W ewolucji życia autor atakuje przyrodniczą interpretację Darwina i jego następców. Ich wysiłki były i są skierowane tylko do opowiedzenia ze staranną dokładnością przeszłych wydarzeń w historii świata. Bergson utrzymuje, że daleko więcej podstawowa świadomość jest możliwą, niżeli jedynie odtworzenie przeszłości. Także zaprzecza on mniemaniu, że umysł może istnieć jedynie w stosunku do materji i że prawa nim rządzące są zależne od praw materji. Spiera się on o istnienie absolutne-

go niezależnego umysłu lub pamięci o charakterze czysto psychicznym i nie posiadającej fizycznego odpowiednika.

Nawet niektórzy zwolennicy poglądów Bergsona, jak np. James, nie są pewni, czy go rozumieją i domyślają się, że on nieraz wygłasza poglądy, których słuszności nie jest on jeszcze zupełnie pewnym. Gwoli większego obiektywizmu i nie chcąc narazić się na możliwość mylnego oddawania myśli Bergsona, w sprawozdaniu niniejszem posługiwaliśmy się cytataми z samej książki i streszczaliśmy ją jej autentycznymi ustępami zachowując nawet stylizację tekstów. Wypadło to prawdopodobnie z ujmą dla jasności i zwięzłości referatu, niech więc poprzednie uwagi ten brak usprawiedliwią.

Alexy Kurcysz.

Korespondencje.

W imię solidarności narodowej.

Lida.

Solidarność narodowa ostatnimi czasy stała się uniwersalnym argumentem, którego skwapliwie chwytą się każdy, kto pod płaszczykiem patriotyzmu ukrywa swe osobiste i klasowe dążności.

W imię solidarności narodowej przekupywano włościan na wyborach do Dumy; w imię solidarności narodowej starannie ukrywany jest termin wyborów z kurji drobnej własności; w imię solidarności narodowej zadaje się gwałt reprezentacji drobnej własności ziemskiej.

Wybory z kurji drobnej własności w powiecie lidzkim odbyły się oczywiście również pod hasłem solidarności narodowej, które proklamowała endecja pospołu z ...policją. Zawiadomienie o dniu wyborów wyznaczonych na 18 września było wydrukowane dopiero 1-go września i nie było wywieszane ani w Ejszyskach, ani w Naczy, ani w Ossowie, ani w Koleśnikach; w innych zaś miasteczkach, jak Żyrmuny, ogłoszenie to naklejono w przeddzień wyborów. W Lidzie ogłoszenie o terminie wyborów wywieszono w korytarzu magistratu!

Drobni właściciele ziemscy, interesując się wyborami, niejednokrotnie zapytywali w kancelarii asesora ejszyskiego o dniu wyborów i zawsze otrzymywali jednakową odpowiedź: „niewiadomo“; tymczasem ogłoszenie o wyborach było wysłane przez tegoż asesora do gminy na tydzień przed wyborami, lecz nie zostało wywieszane i gdzieś się zapodziało. W sukurs policji przyszła narodowa demokracja, gdyż p. p. Putkamer i Moraczewski, jako członkowie komitetu wyborczego nie zdradzili sekretu, widocznie „w imię solidarności narodowej“.

Nie powiadomiona przeto ani przez policję, ani przez członków komitetu wyborczego, kurja drobnej własności ziemskiej stawiała się do wyborów bardzo nielicznie; niespełna 30 osób (z ogólnej liczby 1700).

Na zebraniu przedwyborczem powstał projekt wystosowania do marszałka szlachty oświadczenia, iż wobec niepowiadomienia wyborców o dniu wyborów, należy odłożyć wybory i zwrócić się do gubernatora z prośbą o wyznaczenie nowego termi-

nu. Chociaż trudno było odmówić słuszności tej deklaracji, jednak gdy przyszło do jej podpisywania, paru agentów obszarników, tych samych, co jeszcze przed chwilą oburzali się na odnośne władze za ukrywanie terminu wyborów, działając w myśl wskazówek swych patronów zaczęli twierdzić, że wyborcy powiadomieni byli bardzo dobrze, bo nawet oni sami widzieli gdzieś to ogłoszenie—i podpisania deklaracji odmówili stanowczo.

Wobec takiego braku solidarności, większość zrezygnowała z podania deklaracji i przystąpiła do wyborów, co prawda z powodzeniem. Wszyscy ajenci obszarników zostali zabolotowani i z urny wyborczej wyszli wyłącznie istotni przedstawiciele interesów drobnej własności.

Następnie d. 28 września odbyły się wybory z kurji większej własności ziemskiej łącznie z wyborcami z kurji drobnej własności. Już zrana tegoż dnia zarysował się pewien rozłam w obozie obszarników; z jednej strony silnie zorganizowana endecja, nie licząca się z nikim i niczem postanowiła do Wilna wysłać tylko swoich zwolenników, z drugiej zaś zupełnie niezorganizowana opozycja, powodująca się czysto osobistymi ambicyjkami, chciała zważyć dwóch tylko dla niej niesympatycznych kandydatów. W tym celu grupa owa zwróciła się do przedstawicieli drobnej własności z propozycją zawarcia bloku dla zwalczania endecji na następujących wysoce oryginalnych warunkach: wzamian za pomoc udzieloną sobie, opozycja postara się przeprowadzić wybór jednego z reprezentantów drobnej własności, z warunkiem wszakże, aby nie był nim osobnik, znany z postępowych przekonań, lecz ten, na kogo ona wskaże.

To też z taką opozycją, która w swych aspiracjach społecznych powoduje się nie motywami szczerze demokratycznymi, lecz tylko osobistymi ambicyjkami—grupa drobnej własności wszelkich pertraktacji zaniechała i zwróciła się do endecji z żądaniem udzielenia jej dwóch mandatów do Wilna z zagwarantowaniem prawa do polityki wolnej ręki na wyborach gubernjalnych.

Po otrzymaniu odmownej odpowiedzi od endecji, grupa drobnej własności ziemskiej, uważając siebie za pokrzywdzoną, w wyborach udziału nie wzięła. Narodowa Demokracja, obsadziwszy wszystkie sześć mandatów swoimi ludźmi, razem z niedawną swoją opozycją w „imię solidarności narodowej“ udała się do swego protektora marszałka szlachty na obiad.

Taki był epilog solidarności narodowo biurokratycznej w Lidzie.

Nieprzejednany.

PRASA POLSKA.

— Prawyborzy w Warszawie zakończyły się dotkliwą porażką endecji. Z liczby 80 wyborców wybrano zaledwie 11 endeków (Dmowski przypadł we własnym okręgu), wówczas gdy z listy koncentracji przeszło 22 wyborców. Resztę stanowią nacjonalisci żydowscy, którzy są dziś panami sytuacji. Zamiary ich dotychczas stanowią tajemnicę, wiadomo tylko, że kandydatura Kucharzewskiego nie cieszy się ich sympatją.

Prasa warszawska zresztą przywiązuje większą wagę do klęski endecji i upadku Dmowskiego, niż do przypadkowego zwycięstwa żydów.

„Prawda“ ocenia sytuację w następujący sposób:

„Pan Roman Dmowski obalony został polskimi głosami, w jednym z tych okręgów, które do niedawna uchodziły za warownię endeckiego żywota.

Nie pomogło mu kokietowanie najwsteczniejszych elementów wojującego klerikalizmu.

Niewątpliwie, Związek Katolicki wsparł kandydaturę p. Dmowskiego całą potęgą swego wpływu. Przez dwa tygodnie grzmiały kazalnice we wszystkich parafjach Warszawy, pracowały konfesjonały i kruchty kościelne, aby, po stopniach ołtarzy, utorować wodzowi, pozbawionemu armji—drogę do zwycięstwa.

Wszelako to, co miało posłużyć za posiłek, stało się dlań wyrwaniem ostatniej deski z pod grzęznących stóp.

W okręgu, gdzie stawiona była kandydatura p. Dmowskiego, zwyciężyła lista koncentracji, na której świecą nazwiska ludzi wybitnie znanych z wolnomysłności. Porażka endecji to zarazem votum nieufności dla kleru, który religijny nadużył w celach propagandy partyjnej.

Ludność zadała śmiertelny cios Dmowskiemu właśnie w to miejsce, które on pobożnie ostoił szkaplerzem. poświęconym przez ks. Kłopotowskiego.

Ludność ta potrafiła ocenić, kto istotnie i szczerze dba o dobro narodu, a kto tylko pragnie na nim — spekulować.

Ludność zdała sobie sprawę z tego, kto rozdymając niebezpieczeństwo żydowskie do rozmiarów apokaliptycznych, próbował wygrać je następnie jako atut wyborczy, — a kto sumiennie i uczciwie szukał dróg wyjścia z ciężkiej i trudnej sytuacji.

Cynizm Narodowej Demokracji, istotnie, w obliczu całej polskiej Warszawy, odsonił się z przerażającą oczywistością. Zbiwszy żydów w jeden połączony huf, nacjonalizm endecki podał rękę, niejako, nacjonalizmowi żydowskiemu. Pan Dmowski, dzięki furji antysemitkiej, jaką wzniecił sztucznie w okresie wyborczym, pełnił żydów w objęcia nacjonalizmu. stał się mostem, po którym nacjonałści żydowscy szeroką i zwartą ławą przeszli do kolegium wyborczego“.

Brutalny antysemityzm, za pomocą którego endecja miała nadzieję podbić Warszawę, nie znalazł oddźwięku w społeczeństwie polskim. Surowo potępia go nawet „Goniec“, którego trudno posądzać o jakiegokolwiek sympatje względem żydów. „Goniec“ demaskuje taktykę endecji, polegającą na wymyślaniu od „ładajaków żydów“ tym polakom wyznania mojżeszowego, którzy poróżnili się ze sztabem p. Dmowskiego i zajęli stanowisko odrębne.

„Przyznanie się żydów do narodowości polskiej nie może być używane przez pewną kategorię karjerowiczów polskich, jako szantaż. Pochodzenie żydowskie podobnych polaków nie może być bezustannym mieczem Damoklesa, wiszącym nad ich głowami. Opuszczenie miecza nie może zależeć od kaprysu, czy podłości różnych macherów politycznych.

Nie można np. korzystać z usług żydów w stronictwie, składać na ich barki ciężkiej i odpowiedzialnej pracy grożącej poważnymi karami, więzieniem. lub wygnaniem, dzięki częściowo ich pracy i poparciu wyrażać sobie imię w społeczeństwie i wysuwać się na jego czoło, a potem, gdy niedorzeczności polityczne stronictwa w zakresie spraw czysto polskich odstraszą tego lub innego żyda, lub polaka pochodzenia żydowskiego od partji, powiedzieć brutalnie, że to przecież nie polacy.

Takie bezceremonjalne traktowanie żydów-polaków musi oburzać każdego, kto choć cokolwiek się szanuje. Takie traktowanie miało jedynie na celu zohydzenie żydom-polakom spraw polskich, nastraszenie pogromowe żydów wogóle i zasugestjonowanie polskiej ludności obawą, że wyjdzie poseł-żyd. Nie chciano pozwolić, by myśl polska zorientowała się, by sumienie obywatelskie rozważyło, ale usiłowano pogrążyć je w ciemności i strachu, aby, grając na tych dwóch czynnikach, przemycić kandydaturę na posła p. Dmowskiego. Bo dla niego i jego stronictwa jedynym ratunkiem moralnym i politycznym było zdobycie mandatu z Warszawy.

Dmowski przegrał. Ale pozostał zapach jego pogromowych pogroźek, jego aspiracje do wygradzenia ze społeczeństwa polskiego — żydów-polaków. Chcemy wierzyć, że i polacy i żydzi-polacy przejrzą destruk-

cyjną robotę endecji, nie ulegną jej prowokacji i dążności ku zwaleniu kandydatury p. Kucharzewskiego, nie dadzą im tryumfować, że przeszedł polak, zależny od żydów, nie dadzą łobuzerskiej. zresztą zwyrodniałej wskutek zaślepienia partyjnego, endecji możliwości podszuczowania w dalszym ciągu szerokich mas i kształcenia ich w pożądaniach pogromowych“.

Słuszne uwagi powyższe „Prawda“ uzupełnia spostrzeżeniem, że hasła żydożerczych endecja używa jako narkotyku służącego do znieczulenia głębokich bóleczek społecznych, Przed społeczeństwem polskim, w chwili obecnej, stoi otworem mnóstwo zagadnień, domagających się rozwiązania. Wszystkie te zagadnienia endecja usiłuje utopić i pogrzebać w kurzawie, wzniesionej przez dzikie harce na ślepej kobyle żydowskiej.

Na szczęście Warszawa znalazła dość w sobie silnej woli, by stłumić rozbudzone namietności i przywołać do porządku rozruchwalonych demagogów.

NA WIDNOKRĘGU.

Pokój włosko-turecki został zawarty. Włochy stanęły u celu, który sobie przed rokiem wytknęły: Turcja zgodziła się na zabór Trypolisu i zrzekła się zwierzchnictwa państwowego nad tą prowincją północno-afrykańską. Włochy wydały wprawdzie sporo pieniędzy i poświęciły sporo krwi swoich synów na osiągnięcie tego celu. W polityce jednak według zasady niezbyt moralnej, ale praktycznie stwierdzonej wielokrotnie, powodzenie jest wszystkim. Kto tedy może się wykazać powodzeniem, ten nie potrzebuje się lękać sądów społecznych, podczas, gdy historia dopiero później, znacznie później wydaje swój wyrok.

Jest faktem niezaprzeczalnym, iż od samego początku zjednoczenia Włoch corocznie tysiące i dziesiątki tysięcy najdzielniejszych jednostek włoskich emigrowały za morza, przeważnie do Stanów Zjednoczonych i Argentyny, gdzie zdobywały dobrobyt dla siebie, lecz przepadały bezpowrotnie dla zjednoczonej i rachującej na szczęśliwszą przyszłość ojczyzny w Europie. Politycy i ekonomiści włoscy nie szczydzili wysiłków, by zjednoczone Włochy doprowadzić do szczęśliwego rozwoju społecznego i gospodarczego. Praca się opłacała, ponieważ w ciągu ćwierć wieku zdołano uporządkować finanse włoskie, zdołano zmniejszyć podatki, zdołano ściągnąć rentę włoską z zagranicy tak, iż w rękach obcych kapitalistów przed 2 lata znajdowało się zaledwie 50 milionów renty włoskiej, zdołano wreszcie we Włoszech północnych stworzyć wielki przemysł i zorganizować wielką flotę handlową, która prowadziła i prowadzi coraz to większy handel wywozowy.

Wszystkie te wysiłki i korzyści nie wystarczyły, by zatrzymać w kraju liczną falę emigrantów opuszczających Włochy corocznie i szukających za morzami kawałka chleba. Kierownicy nawy państwowej włoskiej zdawali sobie sprawę, że jedynym sposobem powstrzymania emigracji a raczej uratowania tej emigracji dla idei i narodu włoskiego będzie stworzenie przez Włochy własnych kolonji zamorskich. Nieszczęśliwy przebieg wypadków politycznych sprawił, że Włochy spóźniły się właściwie z szukaniem owych kolonji zamorskich, wszystko, co było jeszcze lepszego do zaboru na kuli ziemskiej, znalazło się w rękach Anglii, Francji i Niemiec. Próba zaboru Abisynji skończyła się nader nieszczęśliwą klęską

na polach Aduy. Ta klęska, którą cesarz abisyński Menelik zadał wojskom włoskim, na szereg lat odebrała państwu włoskiemu ochotę i zdolność do ekspansji kolonjalnej.

Dopiero mądre i przewidujące rządy króla Wiktora Emanuela III, nawiązanie lepszych stosunków z Rosją, wielkie powodzenie handlu wywozowego włoskiego i nawiązanie stosunków z Bałkanem zachodnim dzięki pomocy Czarnogórze — wszystko to sprawiło, że Włochy poczuły w sobie ponownie siłę do podjęcia ekspansji kolonjalnej. Aneksja Bośni i Hercegowiny przez Austro-Węgry była podniętą dla Włoch do zwrócenia oczu na Trypolis, jako na tę prowincję turecką, która, znajdując się niedaleko brzegów Sycylii, posiada wszystkie warunki geograficzne i klimatyczne, by stać się zbiornikiem kolonistów włoskich, którym w granicach własnej ojczyzny było zbyt ciasno.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że Włochy przed rokiem przedstawiały sobie ów zabór Trypolisu daleko łatwiej, niż pouczyły je potem późniejsze wypadki. Były nawet chwile, w których się mogło здаwać, że przedsięwzięcie Włoch zakończy się niepowodzeniem. Trzeba jednak przyznać włoskim mężom stanu, iż umieli stanąć na wysokości zadania i bez frazesów i bez niepotrzebnego popłochu, energicznie i systematycznie pracowali nad doprowadzeniem do skutku akcji, którą uznali za potrzebną dla interesów i dla przyszłości Włoch. Nie oszczędzili ani pracy ani pieniędzy, ani pomysłowości, ani energii, by skłonić Turcję do odstąpienia Trypolisu i do pogodzenia się z faktem, że Trypolis ma tworzyć część składową królestwa włoskiego. Dyplomacja włoska pracowała, jak zawsze, bardzo zrecznie. Umiała wywołać w granicach Turcji szereg zamieszek i burz wewnętrznych, pod naciskiem których rząd turecki się przekonał, że będzie rzeczą najmądrzejszą odstąpić Trypolis Włochom.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ofiary, poniesione przez Włochy dla osiągnięcia wytkniętego celu, opłacą się sowicie. Tylko w życiu jednostki można zysk mierzyć miarą doraźną, miarą tego, co przyniosą dzisiaj, jutro i pojutrze. Natomiast w życiu narodów zysk trzeba liczyć na dalszą metę. Zysk polityczny danego państwa i danego narodu nie dojrzuje tak prędko, jak zysk w działalności i życiu człowieka prywatnego. Włochy zabiorą Trypolis, ale na zaborze Trypolisu nie kończy się ich zysk. Dzięki nakładowi pracy i kapitałów Trypolis wyrośnie prędzej czy później na bogaty kraj rolniczy, dający kawałek chleba milionom obywateli włoskich. Równocześnie powaga polityczna państwa włoskiego spotęguje się na całej linii. Państwa europejskie zaczęły patrzeć na Włochy innemi oczyma, a na Bliskim Wschodzie nie Austro-Węgry, lecz Włochy będą od tej pory czynnikiem coraz to bardziej decydującym.

Mimo woli przychodzi na myśl porównanie z dawną polityką wenecką. Król Wiktor Emanuel III przejął rozum i dar przewidywania politycznego oraz handlowego dawnych dożów. Zrozumiał, że dla przyszłości politycznej i gospodarczej Włoch jest rzeczą konieczną potrzebą starać się o wywieranie jak największego wpływu na wodach i w krajach Bliskiego Wschodu. Niewątpliwie pochlebiałoby to dumie włoskiej, by sztandary włoskie powiewały nad Trydentem i Trjestem. Ale zyskiem daleko większym będzie zaprowadzenie gospodarcze i po części polityczne nad Bliskim Wschodem.

KRONIKA.

— Wybory w kurji rosyjskiej w Wilnie.

Na prawyborach w kurji rosyjskiej w Wilnie nikt nie uzyskał absolutnej większości. Z 3,623 wyborców stanęło do głosowania 2,090. Głosowano na listy czterech stronnictw: Bractwa św. Ducha, nacjonalistów, komitetu bezpartyjnego i postępowców.

Z pośród kandydatów największą względną ilość głosów otrzymał kandydat postępowców, adw. przys. Powołockij (868 gł.). Z kolei kandydat „bractwa” Pigulewskij dostał 835 głosów. Dalej idą podług ilości głosów otrzymanych kandydaci postępowców i „bractwa”. Bardzo niewielką ilość głosów otrzymali kandydaci nacjonalistów i t. zw. komitetu bezpartyjnego.

Zostały wyznaczone powtórne wybory na d. 14 b. m.

— Szkoła nauk społeczno-politycznych w Krakowie

Szkoła nauk społeczno-politycznych w Krakowie rozpoczęła drugi rok swego istnienia. Wobec powodzenia, jakim cieszyły się urządzone tam wykłady w roku ubiegłym, zarząd oparł naukę na następujących zasadach: 1) Wykładane będą przedmioty z zakresu socjologii, prawoznawstwa, ekonomji i polityki społecznej, historii powszechnej i polskiej, kładąc główny nacisk na wiek XIX; 2) Specjalny nacisk kładzie program na oświetlenie stosunków politycznych i ekonomicznych w trzech dzielnicach Polski oraz na rozwój myśli społeczno-ekonomicznej polskiej; 3) Wykładane będą zasady socjologii, ekonomji, antropologii i etnografji; 4) Kurs szkoły rozłożony został na dwa lata.

Program drukowany otrzymać można w kancelarji szkoły N. S. P. Kraków, Wolska 13. II p.

Zapisy na półroczje zimowe rozpoczęły się d. 7 października n. st.

— Handel zamienny.

Podobno pomiędzy Polakami a Żydami w Warszawie toczą się rokowania, aby wyborcy żydowscy oddali głosy za Kucharzewskiego, a za to Polacy obowiązują się wpłynąć na ziemian polskich w gub. wileńskiej, ażeby ci oddali głosy na adwokata Gruzenberga, wybranego na wyborcę z podkurji żydowskiej i kurji miasta Wilna.

— Wywłaszczenie w Poznańskim.

Rząd niemiecki postanowił zastosować po raz pierwszy ustawę o przymusowym wywłaszczeniu, zatwierdzoną d. 20 marca 1908 r., lecz dotychczas nie wykonywaną.

— Kampanja wyborcza w Rosji.

Z liczy 4539 wyborców, dotychczas wybranych,—2309 należy do obozu prawicowego, 217 do nacjonalistów, 381 do październikowców, 497 do kadetów, 252 do postępowców, 108 do trudowików, 206 do socjalnych demokratów, 388 do bezpartyjnych i t. d.

Z powyższych danych wynika, że dawne centrum: nacjonalisci i październikowcy utracili w IV Dumie całkowicie swe znaczenie. Do walki staną dwa obozy: reakcja i opozycja. Przewaga oczywiście będzie po stronie pierwszej, ale nie tak znów znaczna, jak się spodziewano.

Treść numeru.

Po wyborach wileńskich.—L. Abramowicza.

Odpowiedź na refleksje wyborcze.—Wc. St.

W sprawie ugody polsko-rusińskiej.—J. Sorokowicza.

Autonomja Irlandji.—St. Posnera.

Nasza dyplomacja.

W szpitalu.—B. Zahorskiego.

Teatr zimowy.—T. Kleszczyńskiego.

Simone i Bozia.—M. Prevost.

Przegląd piśmienniczy.—E. Czekalskiego.

Badania naukowe.—A. Kurcjusza.

Korespondencje.

Prasa polska. Na Widnokregu. Kronika.

Odcinek: „Marja Magdalena” — G. Daniłowskiego.

!! Szanujcie swe obuwie i używajcie tylko !!

„POMALIN“

idealną, wypróbowaną i nieszkodliwą pomadkę do obuwia bez terpentyny, wyrobu Laboratorium chemicznego St. Fiszera w Warszawie.

Sprzedaż główna na Wilno i gubernję, hurtowa i detaliczna

W SKŁADZIE
FARB

Jana Mazurkiewicza,

Wilno,
Dominikańska 11.

—o) Żądać wszędzie. (o—

Dostępna dla każdego możność zakupienia działki gruntu

w najlepszej dzielnicy Wilna, w „Zwierzyńcu“. Miejscowość ładna i zdrowa: stary las sosnowy, rzeka Wilja. Ceny niskie, warunki dogodnie na raty długoterminowe. Szczególniej dogodnie i tanie są działki gruntu nad rzeką. Zwracać się należy do biura parcelacyjnego: Wilno „Zwierzyniec“. Ul. Giedyminska 32. Telefon № 46.

BIURO PARCELACYJNE i LEŚNE

SPECJALISTY - LEŚNIKA

Józefa Łastowskiego

(byłego p. o. Członka Banku Włociańskiego)

Wilno, просп. Ś-to Jerski, d. № 43 m. 4.

Parcelacja, likwidacja

majątków ziemskich z udziałem Banków w Ziemskich i Włociańskiego lub bez tegoż, parcelacja planów miejskich.

Urządzanie gospod. leśnych

oraz innych robót w zakres leśnictwa wchodzących.
Informacja od godziny 12 do 1 i od 5 do 6 wieczór.

Mieszkanie wraz z całodziennem utrzymaniem dla kształcących się panien.

Zapewnia się zdrowe odżywianie, wszelkie wygody, oraz pomoc i ulgi w korzystaniu z odczytów, muzeów, kierownictwo w czytaniu książek i t. p. Na żądanie konwersacja francuska, nauka kroju, robót i słoju.

Warszawa, ul. Złota 36 m. 13 Z. GRUSZCZYŃSKA.

A. DROGOSZEWSKI

„Władysław Syrokomla“

Warszawa 1905 r.

Skład główny Warszawa u Centnerszera i Pol. Związ. Nauczycielski

Nowogrodzka № 25.

Cena 60 kop.

Cena 60 kop.

Dr. Stefanja Hertz

CHOROBY KOBIECE

Przeprowadziła się na ul. Dominikańską № 8.

Przyjmuje codziennie od 5-ej do 7-ej pop. prócz świąt i niedziel.

POLAK SPECJALISTA MLECZARZ

poszukuje miejscowości do otwarcia mleczarni. Wymaganą jest większa ilość krów (około 250 szt.) w folwaraku jednym, lub w kilku blisko leżących. Oferty nadsyłać pod adresem: Wilno, zauł. Oranżeryjny 6. Redakcja „JUTZENKI“, dla mleczarza.

Żądajcie wszędzie „ODOBRIN“

tylko MICHAŁA LEBIEDIEWA.

Tępi odciski



i brodawki z korzeniem

Informator Handlowy.

BIURO PRZEPISYWAŃ A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.
POŚPIECH i DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C

T. KRZYŻANOWSKI

Wilno, Bonifraterska (Preobraż.) № 8
Obuwie gotowe i na obstalunek.

KSIĘGARNIA

KULTURA Wilno,
Dominikańska 14

PRENUMERATA PISM.

Wszelkie nowości.